BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

W numerze:
MELCHIOR WAŃKOWICZ

Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 4.I.1970. Nr 1 (434) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Karnawał 1970

— A ty pewnie znowu na jakąś ważną konferencję?!

Rys. L. Szalecki

Dziś do ciebie przyjść nie mogę a... jutro?

Maria Bechczyc-Rudnicka

W JAKIEŚ trzy lata po wyzwoleniu, po przetoczeniu się wysokiej fali entuzjazmu wywołanego odzyskaniem polskiego słowa scenicznego, miał lubelski teatr dramatyczny okres, kiedy musiał desperacko walczyć z konkurencją teatru Domu Żołnierza, wystawiającego operetki i komedie muzyczne. Spadek frekwencji stanowił szczególnie wielkie zagrożenie dla placówki nie otrzymującej podówczas żadnej dotacji. Walczono nie przebierając w środkach, lecz sposobami, powiedzmy, dość staroświeckimi: reklamą (nazywaną eufemistycznie — propagandą), wyklócaniem się na zebraniach, podgryzaniem w miarodajnych instytucjach, inwektywami w prasie. Koniec końców spróbowano zadziałać polubownie, łącząc obydwie sceny pod wspólnym kierownictwem artystycznym i administracyjnym Teatru Miejskiego, z zamiarem stworzenia dwóch typów teatru: o wielkim repertuarze i o repertuarze popularnym, wychowawczym. Eksperyment rozbił się — najprawdopodobniej o rafy antagonizmów personalnych. Zresztą upaństwowienie teatru dramatycznego w r. 1949 wybawiło go z kłopo-

Dokończenie na str. 4

Karta prawdę powie? Sprawdzimy 31 grudnia 1970 r.

Fot. Anatol Weczer

Eksperyment się udał

Maciej Podgórski

LUBELSZCZYZNA stała się — w skali ogólnopolskiej — ośrodkiem nowatorstwa pedagogicznego. Może to brzmi nieco zbyt patetycznie, ale to jest fakt. Zresztą ze wszech miar budujący. No i częściowo już historyczny, bo oficjalnie usankcjonowany w roku 1964. Przede wszystkim jednak jest to fakt, który pozytywnie organizuje i będzie organizował perspektywę przyszłościową szkolnictwa: od przedszkoli aż po nauczanie na poziomie średnim.

Dotychczasowe rezultaty ruchu nowatorstwa i eksperymentatorstwa pedagogicznego podsumowała ogólnopolska Sesja Oświatowa, która odbyła się w Lublinie w dniach 5—6 grudnia ub. r. Organizatorzy Sesji, a także — przede wszystkim — aktywni uczestnicy całego ruchu, otrzymali już swoją porcję zasłużonych pochwał, zarówno podczas obrad jak i na łamach prasy codziennej. Więc pozwolę sobie darować tę przyjemną powinność. Również problemowe podsumowanie czy choćby tylko zwyczajny opis zasad, form i osiągnięć prac modernizujących szkolnictwo będę musiał tutaj pominąć. Materiał jest bowiem olbrzymi. Trzytomowa edycja dotycząca tych zagadnień, która ukazała się w związku z Sesją, liczy blisko 1000 stron! W tej sytuacji przyszło zająć się jedynie pewnymi wycinkami sprawy, rzutującymi właśnie w przyszłość. Jest wszelako nad czym myśleć, albowiem — wedle słów kuratora Okręgu Szkolnego Lubelskiego, Tadeusza Kąckiego — *pomimo dużych osiągnięć ruch nowatorski w województwie lubelskim nie stał się jeszcze szerokim upowszechnieniem postępu pedagogicznego, a był raczej poszukiwaniem zasad, metod i sposobów jego upowszechniania.* Wszak dopiero w następnym pięcioleciu będzie się szerzej zaszczepiać sprawdzone w tym zakresie doświadczenia.

Jeśli jeden z głównych naukowych animatorów ruchu, prof. Konstanty Lech, powiedział: *dziś, po pięciu latach pracy, stwierdzam — eksperyment się udał,* znaczy to m. in., że dopracowano się konkretnych recept na unowocześnienie nauczania. Ale żeby te recepty poczęły praktycznie i zarazem bardziej powszechnie funkcjonować, trzeba pokonać szereg trudności podstawowych, które — jak to mówią — „wyszły" już choćby podczas samych obrad Sesji i którymi częściowo chciałbym się tutaj zająć.

Wpierw sprawa stara jak świat — warunki lokalowe i wyposażenie szkół. Kłopoty w tym względzie utrudniają czasem jakiekolwiek nauczanie w ogóle, nie mówiąc już o nauczaniu eksperymentalnym, gdzie brak odpowiednio urządzonych i obszernych pracowni lub choćby tylko klaso-pracowni oraz dostatecznego dla nich zaplecza uniemożliwia słuszną rezygnację z nadmiaru metod podających w procesie dydaktycznym. Nie idzie tu zresztą tylko o budynki samych szkół, także o trudności lokalowe bibliotek pedagogicznych, co znowu wiąże się z możliwościami dokształcania nauczycieli. Zaś problem pracowni staje się szczególnie dotkliwy, gdy mowa o przedmiotach humanistycznych, bo na przykład fizyka, chemia czy biologia tradycyjnie są tu w lepszej sytuacji, dla pracowni humanistycznych natomiast brak właśnie tradycji organizacyjnej. Uruchomienie kredytów na inwestycje szkolne, pomoce naukowe, aparaturę, księgozbiory, z drugiej strony upowszechnianie i weryfikowanie doświadczeń w zakresie modelu pracowni przedmiotów „zaniedbanych" — to warunki wstępne dla powodzenia akcji popularyzującej eksperyment.

Motywem, który ciągle wracał w obradach Sesji, była kwestia podręczników, programów, suplementów, książek do ćwiczeń. Znów problem ocierający się o kłopoty — by tak rzec — jeszcze przedeksperymentalne. Im mniejszy priorytet przedmiotu nauczania, tym gorzej przedstawia się ta sytuacja. Dowiedzieliśmy się na przykład, że podręczniki geografii piszą często i zatwierdzają niespecjaliści, że program tego przedmiotu jest zbyt przeładowany wiadomościami typu encyklopedycznego, za mało natomiast uwzględnia przyczynowo-skutkowe relacje zjawisk. Podobnie w zakresie historii — ucznia trudno jest często doprowadzić do dialektycznego pojmowania procesu dziejowego, jeśli się chce uwzględnić zbyt obszerny zakres wymaganych treści nauczania. Dotychczasowe podręczniki i programy nie są uporządkowane według zasad myślenia strukturalnego. Jak więc praktycznie myśleć — nomen omen — o programowaniu treści nauczania, porcjowaniu poszczególnych struktur problemowych? A to są przecie znowu rudymenta dla wprowadzenia toku lekcji unowocześnionych. Sami nauczyciele w trakcie codziennych zajęć muszą poznać nowy system nauczania, nie będą więc w stanie przepracować pod tym kątem podręczników i programów. Tym więcej, że dotychczasowe próby w tym zakresie były dokonywane przez kadrę najaktywniej uczestniczącą w modernizacji szkolnictwa, w przyszłości zaś musiałyby być realizowane przez ludzi po części może mniej dynamicznych i po części mniej „otwartych" dla tych spraw. Bo nie

Dokończenie na str. 4

Chłopi Lubelszczyzny

Życie Mateusza Jaszaka

Mirosław Derecki

PAMIĘTNIKÓW nigdy nie próbowałem pisać, dziennika nie prowadziłem, a zdolności gawędziarskich także nie mam. Więc nie wiem, czy się panu na co zda ten przyjazd do mnie, tutaj, na wieś, zimową porą, przy niedzieli. Lepiej by pan napisał coś o samej naszej wsi, o Fajsławicach. Pewnie, w taki dzień jak dzisiejszy, kiedy śniegu nawaliło i wiatr się tłucze między chałupami, człowieka mniej ciągnie do spacerów, do zwiedzania tutejszej rzeczywistości, a chętnie by się zaszył w kącie, w „Fajsławiance", przy kuflu piwa grzanego albo i kieliszku chleba. Ale i tak tylko wyjrzeć przez okno, choćby z tej „Fajsławianki", od razu widać, że dużo się tutaj zmieniło i na dobrą sprawę już nie jesteśmy wsią, ale jakby prawie przedmieściem Krasnegostawu. No bo co w dzisiejszych czasach znaczy te dziewiętnaście kilometrów? A w dodatku mamy tutaj chyba trzydzieści autobusów i w kierunku Krasnegostawu, i do Lublina. Nie tylko młodzi, ale i my starzy, już zapomnieliśmy, proszę pana, jak to się jeździ do miasta furmanką.

Dlaczego mówię — przedmieście? A czy Fajsławice można dzisiaj nazwać wsią w pełnym tego słowa znaczeniu? Już nie mówię o elektryczności, bo to stare dzieje. Ale my tutaj mamy swój ośrodek zdrowia, aptekę, lecznicę weterynaryjną, coś ze sześć sklepów różnych branż, punkty skupu żywca i płodów rolnych, bazę mechaniczną międzykółkową, ech, co tu gadać, jednym tchem się tego wszystkiego nie wymieni, a oglądać by trzeba było przez kilka dni. Tak, że — jak to powiadają — nie ma co ukrywać, zmieniło się od przed wojny nasze oblicze. Tak, zupełnie inny świat, inni ludzie. Przed wojną, pamiętam, na dobrach Fajsławice siedzieli Florkowscy. Nie powiem o nich dobrego słowa. Nieużyci byli. Jak się panu podoba taki przykład: jeden z Florkowskich miał taką fantazję, że wszystkim kobietom ze służby folwarcznej kazał strzyc włosy, żeby się wyróżniały, że pochodzą z jego majątku. Kiedyś czytałem, że w dawnych wiekach chłopów piętnowano. Czy to nie było coś w rodzaju piętnowania? Tak na skalę dwudziestego wieku? Te kobiety musiały jeszcze przy tym nosić czerwone chustki. Identycznie zawiązane, coś niby wojsko. I wie pan, dla miejscowych ludowców, dla kapepowców, to było dodatkowym kamieniem obrazy. On się jakby z nas naigrywał, jakby sobie kpił — może czynił to właśnie celowo — z koloru sztandaru, który nosiliśmy w czasie pochodów...

Ale ja się tutaj rozgadałem, wpadłem w dygresje, a pan przecież powiada, że nie o to chodzi. Pan mnie się pyta, jak to się stało, że kiedyś, w tej tutaj zapadłej wiosce lubelskiej, zostałem członkiem KPP? A ja na to tak od razu, po prostu odpowiedzieć nie mogę, bo złożyło się na to wiele różnych przyczyn i dlatego — co tu gadać — bez tak zwanego życiorysu się nie obejdzie. I myślę sobie, że chyba zacznę od metryki urodzenia, od moich rodziców i rodzeństwa, od tego kawałka ziemi, na którym siedzieliśmy, a pan sobie to będzie później układał i przykrawał, żeby nadać całości odpowiedni kształt.

Nazywam się Mateusz Jaszak. Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćsetnym. Teraz siedzimy z żoną w tej wsi, na dwóch hektarach ziemi, ale rodem z Fajsławic nie jesteśmy. Oboje pochodzimy z Suchodołów, to taka wieś prawie przylegająca do Fajsławic. W domu było nas czworo, dwóch braci i dwie siostry. W perspektywie mieliśmy do podziału po rodzicach trochę więcej niż hektar gruntu, stary dom i trochę żywego inwentarza. A obok, prawie przez miedzę, Florkowscy mieli ponad sześćset hektarów. To już nam, jeszcze jako dzieciom, musiało dawać do myślenia — dobrze mówię?

Teraz można by sobie podarować aż do 1920 roku, do czasów wojska, a właściwie do roku 1922, kiedy z wojny i z wojska wróciłem, do do-

Dokończenie na str. 6

teatrnn.pl

Kultura 1970

Zmarli

⇢ W Łodzi zmarł Stanisław Czernik, wybitny poeta, prozaik, badacz polskiego folkloru. Przed wojną był on założycielem ostrzeszowskiej „Okolicy Poetów", pisma redagowanego w zbliżonych do przedwojennej „Kameny" warunkach. Za powieść pt. „Ręka" Stanisław Czernik otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia, za swą twórczość (w 1955 r.) nagrodę literacką m. Łodzi.

Literatura

⇢ Jak podaje Stanisław Arct w swojej książce „Odbudowa książki w Polsce", straty w książkach w czasie ostatniej wojny były następujące: u wydawców 99 proc., w księgarniach 85 proc., w wypożyczalniach 90 proc., w bibliotekach publicznych 85 proc., w księgozbiorach prywatnych 70 proc.

⇢ W okresie istnienia Polski Ludowej wydano — łącznie z przewidywaniami na rok 1969 — 162 tys. tytułów książek w łącznym nakładzie 2.130 mln egzemplarzy. Szczytowy był rok 1965 — 16.306 tytułów, ponad 119 mln egzemplarzy.

⇢ W ciągu ostatnich 3 lat polscy literaci odbyli ok. 4,5 tys. spotkań z czytelnikami w miastach, miasteczkach, osiedlach i wsiach.

⇢ Ukazał się już „Pan Tadeusz" Mickiewicza, zapoczątkowujący pomnikową edycję „Dzieł wszystkich", którą podjęło Ossolineum wraz z Instytutem Badań Literackich PAN.

⇢ Zgodnie ze swoimi uprawnieniami statutowymi Zarząd Główny ZLP skreślił z listy członków osoby, które opuściły kraj. Wśród nich są: Leopold Tyrmand, Henryk Grynberg, Liliana Berger-Gronowska, Arnold Słucki, Stanisław Wygodzki, Roman Karst, Dawid Sward, Adam Tarn, Eugeniusz Żytomirski, Michał Mirski, Hanna Szumańska-Grossowa, Alicja Lisiecka, Tempel Mendel, Ignacy Szenfeld.

⇢ Nakładem „Czytelnika" ukazała się nowa powieść Edwarda Stachury „Cała jaskrawość". Jest to relacja z paru tygodni życia dwóch młodych ludzi, którzy „jako dzisiejsze poetyckie wagabundy" wędrują po Polsce.

⇢ Z okazji 25-lecia PRL i 19-lecia oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza w Przemyślu ukazał się ładnie wydany 608-stronicowy tom „Z dziejów kultury i literatury Ziemi Przemyskiej".

⇢ W Bratysławie odbyły się dwie wystawy polskie. Pierwsza to wystawa polskiej książki, głównie literatury pięknej, druga — „Teatr w Polsce".

⇢ Przy udziale licznej publiczności odbył się w paryskiej Sorbonie wieczór poezji Kochanowskiego, zorganizowany przez Ośrodek Polski. Wiersze Kochanowskiego w znakomitym tłumaczeniu znanego przyjaciela Polski prof. Jeana Bourilly były recytowane przez aktorów.

Teatr

⇢ W krakowskim Teatrze Kameralnym odbyła się polska prapremiera „Donadieu" Fritza Howaldera w reżyserii Aleksandra Bardiniego. Howalder jest pisarzem niemieckim, który stale mieszka w Szwajcarii.

⇢ Polski Teatr Ludowy we Lwowie wystawił „Wesele" Wyspiańskiego w reżyserii Zbigniewa Chrzanowskiego.

⇢ W grudniu na 106 scenach radzieckich odbył się festiwal dramaturgii polskiej. Wystawiono 46 nowych sztuk autorów polskich, z czego 10 w samej Moskwie.

⇢ Teatr włoski w Aquili wystawił prapremierę sztuki Witolda Gombrowicza „Operetka" w reżyserii Antonia Calendy. Muzykę skomponowali Fiorenzo Carpi i Luigi Proietti.

⇢ Związek zawodowy aktorów w Anglii grupuje ok. 18,5 tys. członków. Jak oświadczył ostatnio przewodniczący związku, 10 tys. członków nie znajduje pracy. A tymczasem 200 szkół dramatycznych opuszcza co roku ok. tysiąca absolwentów i tylko co trzeci ma teoretyczne szanse znalezienia odpowiedniej pracy.

Sztuka

⇢ Centralne Biuro Wystaw Artystycznych w porozumieniu z władzami szkolnymi organizuje siódmy Ogólnopolski Turniej Wiedzy o Sztuce dla uczniów szkół średnich (z wyłączeniem szkół artystycznych). Obejmie on historię malarstwa polskiego od Młodej Polski do naszych dni. Eliminacje odbędą się w połowie kwietnia.

⇢ W warszawskiej „Zachęcie" czynna jest druga Ogólnopolska Wystawa Medalierstwa. Pierwsza odbyła się w 1963 r.

⇢ 31 marca mija termin składania prac na konkurs na projekt pomnika Włodzimierza Lenina. Pomnik ten stanie w Alei Róż w Nowej Hucie. Kamień węgielny pod pomnik zostanie położony 12 kwietnia.

⇢ „Interpress" przygotowuje obszerną pracę prof. dr Stanisława Lorentza — „Przewodnik po muzeach i zbiorach w Polsce". Obejmie on ok. 300 muzeów i kilka kolekcji prywatnych.

⇢ W białostockim Muzeum Okręgowym odbyła się wystawa, obejmująca 140 prac 31 autorów z całego kraju, którzy brali udział w malarskim plenerze w Białowieży.

⇢ W kieleckim Muzeum Świętokrzyskim odbyła się ogólnopolska konferencja naukowa, poświęcona twórczości jednego z naszych najlepszych malarzy — Józefa Szermentowskiego. Urządzona z tej okazji wystawa objęła 110 prac artysty.

⇢ O ponad 700 eksponatów wzbogaciło się w ub. roku Muzeum Mazurskie w Olsztynie. Najcenniejszym nabytkiem jest portret księcia Józefa Poniatowskiego, eksponowany obecnie na wystawie sztuki polskiej w Londynie.

⇢ Na niedawnej licytacji dzieł sztuki w Kolonii pojawiło się kilka obrazów malarzy polskich — J. B. Piersch, A. Malinowskiego, R. Kochanowskiego i M. Wywiórskiego.

Muzyka

⇢ W grudniu minęło 15 lat od chwili uruchomienia w Krakowie Miejskiego Teatru Muzycznego, który daje spektakle zarówno opery jak i operetki. Na jubileusz wystawiono operę Gounoda „Faust" oraz operetkę R. Sielickiego „Dama od Maxima".

⇢ Młoda skrzypaczka Kaja Danczowska, laureatka konkursu im. Wieniawskiego w Poznaniu, na konkursie w Neapolu zdobyła drugie miejsce.

⇢ Z 63 kandydatów 14 otrzymało roczne, a 16 kwartalne stypendia Towarzystwa im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Niestety, wśród stypendystów nie ma ani jednego z mniejszych ośrodków.

⇢ Ponad stuosobowy zespół Filharmonii Narodowej występował przed świętami w Rumunii. Solistą był pianista T. Żmudziński.

⇢ Na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie występował gościnnie zespół opery Teatru Narodowego (Narodniego Divadla) z Pragi, wystawiając m. in. „Jenufę" L. Janaczka.

⇢ Na dwumiesięcznym tournée w USA i Kanadzie przebywają zespoły „No to co" i „Alibabki" oraz parodysta Jan Gałązka. Program obejmuje m. in. polskie pastorałki.

⇢ Płyty z nagraniami włoskiej piosenkarki Rity Pavone zostały już sprzedane w ilości 12 mln. Ze względu na swój mały wzrost (149 cm) Pavone nazywana jest „głową marchewki".

Film

⇢ „Bitwa o Anglię" Guy Hamiltona otworzyła przegląd filmów brytyjskich w Warszawie. W maju odbędzie się przegląd filmów polskich w Londynie.

⇢ W Tokio został podpisany protokół o współpracy pomiędzy radiem i telewizją polską a japońską. Wyślemy do Japonii m. in. filmy telewizyjne „Przygody pana Michała" oraz „Czterej pancerni i pies", a także pozostałe (część już wyświetlano w Japonii) odcinki „Stawki większej niż życie".

⇢ „Złotą Apsarę" czyli pierwszą nagrodę za najlepszą rolę kobiecą na festiwalu w Phnom Pench (Kambodża) otrzymała Jadwiga Barańska za rolę w „Hrabinie Cosel". Ponadto krótkometrażowy „Szyk" otrzymał nagrodę Królewskich Sił Lotniczych.

⇢ Ponad 200 osób ze świata artystycznego wzięło udział w przyjęciu, wydanym w Delhi przez ambasadora PRL R. Spasowskiego. Odbyło się ono z okazji pobytu w tym mieście delegacji polskich filmowców, biorących udział w festiwalu filmowym.

⇢ „Legenda Pawiaka" — taki tytuł nosić będzie dzieło tadżyckiego reżysera S. Chamidowa. Będzie to opowieść o dwóch lotnikach radzieckich, którzy trafili do warszawskiego więzienia.

⇢ W nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej odbył się festiwal filmów radzieckich. Trwał on ponad miesiąc i objął wszystkie klasyczne pozycje, m. in. Eisensteina, Pudowkina, Dowżenki.

⇢ Po 20 latach nieobecności wróci na ekrany Rita Hayworth. Zagra ona starą kobietę, która siłą zatrzymuje młodego autostopowicza.

Różne

⇢ W połowie grudnia król Szwecji Gustaw VI Adolf wręczył siedmiu tegorocznym laureatom nagrody Nobla. Obecny był ambasador PRL. Równocześnie pokojową nagrodę Nobla, ufundowaną przez szwedzki Bank Państwa (375 tys. koron), otrzymała Międzynarodowa Organizacja Pracy.

⇢ Profesor Uniwersytetu Warszawskiego dr Kazimierz Kumaniecki, przewodniczący Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej, został członkiem Królewskiej Flamandzkiej Akademii Nauk, Literatury i Sztuki.

⇢ Pracownia Dziejów Warszawy PAN przygotowuje sześciotomową pracę o dziejach naszej stolicy od czasów najdawniejszych do współczesnych.

⇢ W dniach 16—17 marca odbędzie się IV zjazd krajowy Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki.

⇢ W Krakowie odbył się kolejny konkurs szopek. Już po raz szósty pierwszą nagrodę otrzymał Witold Głuch.

⇢ Najważniejszym zadaniem chwili obecnej jest przywrócenie i umocnienie państwowego kierowania dziedziną kultury oraz stwarzanie bezpośrednich warunków dla rozwoju socjalistycznej twórczości artystycznej — stwierdził minister kultury Czeskiej Republiki Socjalistycznej Miloslav Brużek.

⇢ Chilijska grupa beatowa The Mortis grała bez przerwy 73 godziny, bijąc dotychczasowy rekord świata zespołu japońskiego o przeszło półtorej godziny. Trzech muzyków całkowicie wyczerpanych trzeba było przewieźć do szpitala.

Xavier Gelin jest synem głośnej pary aktorskiej — Daniele Delorme i Daniel Gelin. Występował już w kilku małych rolach jako komik, m. in. grał w jednym filmie obok BB. Teraz, wzorem ojca, ma grać role współczesnych uwodzicieli. Stąd to romantyczne zamyślenie.

Kamena str. 2

Z brulionu lektora

Na Księżycu i na Ziemi...

Marek Adam Jaworski

GENERAŁ Victor Wenner jest doktorem nauk politycznych i administracyjnych, przewodniczy belgijskiej komisji obrony narodowej, przedtem piastował funkcję szefa gabinetu ministra obrony narodowej. Ostatnio na konferencji poświęconej polemologii (czyli nauce o wojnie jako o zjawisku społecznym), która odbyła się w Brukseli, przedłożył niepokojący raport na temat możliwości i konsekwencji zainstalowania na Księżycu wyrzutni rakiet nuklearnych.

Nie jestem wojskowym, niemniej nie sądzę, aby można było przejść tak zupełnie obojętnie nad spostrzeżeniami belgijskiego generała, zwłaszcza że jesteśmy przecież pod wrażeniem amerykańskich wypraw księżycowych i słusznie uważamy je za wielki krok w kierunku poznania Księżyca. Krok — przede wszystkim ludzkości. Zafascynowani samym faktem znalezienia się człowieka na innym ciele niebieskim zapominamy, że nasz glob ziemski przekształcił się w wielką zbrojownię, że sukces kosmiczny może mieć znaczenie nie tylko czysto naukowe...

Generał Wenner oświadczył na wspomnianej konferencji: *Pierwszy kraj, któremu uda się założyć bazę wojskową na Księżycu, dysponować będzie najdoskonalszym i najstraszliwszym instrumentem odstraszania planetarnego. Informacje, zebrane przez astronautów, są natychmiast wykorzystywane przez wojskowych: struktura gruntu księżycowego, jego twardość, jego wytrzymałość na wstrząsy — to wszystko interesuje tych, którzy chcieliby pewnego dnia założyć tam bazy strategiczne... Budowa bazy rakietowej na Księżycu byłaby przedsięwzięciem niesłychanie kosztownym, ale pomysł ten nie ma w sobie nic z utopii. Około 1975 r. rozpracowanie kosmicznego pojazdu jeżdżącego tam i z powrotem, mogącego umieszczać ludzi i sprzęt na orbicie okołoziemskiej stosunkowo niskim kosztem, umożliwiłoby mocarstwom kosmicznym nagromadzenie na „przedmieściach" Ziemi ludzi i sprzętu niezbędnego dla budowy bazy księżycowej. Prefabrykowane elementy byłyby transportowane na orbitę księżycową przez inny pojazd i wyładowywane na Księżycu przy pomocy trzeciego pojazdu. Międzyplanetarny transporter, który kursowałby tam i z powrotem między orbitą ziemską i orbitą księżycową, mógłby być wyposażony w silnik rakiety nuklearnej typu „Nerva", nad którym Amerykanie obecnie pracują. Koszt globalny tych kursów tam i z powrotem byłby o tyle mniejszy, że pojazdy odbywałyby dużą liczbę podróży, a nie jedną, jak obecnie kabiny. Prace na powierzchni księżycowej nie nastręczałyby poważniejszych trudności z chwilą dysponowania odpowiednią ilością sprzętu. Należałoby naturalnie wszystkie instalacje zakopać, by uchronić je przed promieniowaniem i straszliwymi rozpiętościami temperatur: baterie na paliwo, akumulatory słoneczne i generatory radioizotopowe ogrzewałyby ekwipunek w czasie długiej nocy księżycowej. Można by nawet rozważyć możliwość całkowitej automatyzacji bazy. Wystarczyłoby zbudować antenę, która zapewniłaby pełną łączność z Ziemią...*

Gdy przytaczam te słowa generała Wennera, jest jeszcze połowa grudnia. W Helsinkach toczą się rozmowy radziecko-amerykańskie na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Wszystko otoczone jest jak największą tajemnicą. Dziennikarze, którzy w licznym gronie zjawili się w stolicy Finlandii, mogą tylko po minach dyplomatów wnioskować, czy uczyniono jakieś postępy. Nic więc dziwnego, że ich relacje są bardzo skąpe i trudno ręczyć za autentyczność poszczególnych spostrzeżeń. Dlatego też nie mogłem na spotkaniu w Dzierzkowicach-Woli w pełni zadowolić moich sympatycznych słuchaczy. Sądzę zresztą, że gdybym przyjechał do nich bezpośrednio z Helsinek, skutek byłby podobny.

Niemniej trudno przecenić rozmowy w Helsinkach. Jeśli do nich doszło, to ten fakt zawiera w sobie dużo optymizmu. Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne, w ich liczbie i Polska, wysuwały już wiele propozycji mających na celu położenie kresu obłędnemu wyścigowi zbrojeń. Stany Zjednoczone uporczywie odrzucały wszelkie sugestie państw socjalistycznych. Wychodziły z założenia, że można zastraszyć obóz socjalistyczny, zmusić go do ponoszenia wielkich ciężarów zbrojeniowych, co w konsekwencji osłabi tempo jego rozwoju ekonomicznego służącego produkcji przeznaczonej na cele pokojowe. Te kalkulacje całkowicie zawiodły. Związek Radziecki opanował technologię wytwarzania najnowocześniejszych rodzajów broni jądrowej, był w stanie skonstruować dalekosiężne pociski rakietowe. Nixon mówi dziś nie o przewadze wojskowej USA, ale o „wystarczającym potencjale obu stron". A więc — równowaga. Zresztą swoista równowaga: równowaga strachu. Ta z kolei pociąga za sobą dalsze zbrojenia. Na rakiety można odpowiadać antyrakietami. W USA obliczono, że zbudowanie systemu antyrakietowego pochłonie zawrotną sumę 100 miliardów dolarów. W dodatku — nie będzie żadnej gwarancji, że ten system okaże się całkowicie skuteczny. Głosy nawołujące do rozsądku zabrzmiały bardziej przekonująco. Z jednej strony — wojna w Wietnamie, zaułek bez wyjścia, z drugiej — wewnętrzna sytuacja w USA, ograniczanie funduszów na cele socjalne, nabrzmiały problem murzyński. I wreszcie wzrastający niepokój sojuszników Stanów Zjednoczonych, obawiających się przekształcenia (na skutek zbytniej zależności od waszyngtońskich strategów) konfliktów lokalnych w konflikt ogólnoświatowy.

W takiej sytuacji doszło do spotkania w Helsinkach. Związek Radziecki zawsze wykazywał maksimum dobrej woli. Nigdy nie traktował swych propozycji jako ostatecznych, gotów był je korygować, wychodzić naprzeciw sugestiom Zachodu. Jeśliby i Stany Zjednoczone szczerze dowiodły swej gotowości do kompromisów, można by znaleźć rozwiązanie, które z ulgą powitałaby cała ludzkość. Tak jak powitała ona układ o częściowym zakazie prób z bronią jądrową czy układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

* * *

Przed dwoma tygodniami pisałem o amerykańskiej zbrodni w Song My. Londyński „Sunday Times" zwraca uwagę, że zbrodnia ta bynajmniej nie jest odosobniona. Amerykańska soldateska... Właśnie: oddam w tym miejscu głos żołnierzowi amerykańskiemu, który w lecie 1967 r. oświadczył pewnemu pisarzowi („Sunday Times" cytuje czasopismo „New Yorker" z marca 1968 r.): *Nikt nie odczuwa żadnego współczucia dla Wietnamczyków — powiedział Sproul, żołnierz z Teksasu. — Są oni zgubieni. Kłopot polega na tym, że nikt nie traktuje Wietnamczyków jak ludzi. Nie są oni ludźmi. Dlatego też nie ma żadnego znaczenia, co się z nimi robi... Tych żołnierzy Vietcongu trudno złamać. Pewnego dnia widziałem, jak pewien naprawdę brutalny sierżant przywiązał pewnego żołnierza Vietcongu za nogi, głową w dół, do helikoptera i ciągnął go tak przez trzy tysiące stóp w powietrzu, huśtając go nad polami ryżowym. Kiedy ściągnięto go na ziemię, to, psia kość, jeszcze mówił...*

Albo relacja ze wsi Xuan Ngoc:

W nocy z 23 na 24 września 1966 r. patrol złożony z 9 „marines" wyznaczony został do dokonania zasadzki... Od miesięcy nie było na tym obszarze jakiejś żywszej działalności Vietcongu i logicznie biorąc powinna to była być służba w ramach zwykłej rutyny, bez żadnej akcji. Patrol postanowił jednak na własną rękę (?) dokonać małego polowania na podejrzanych o przynależność do Vietcongu w sąsiedniej wiosce.

W sumie wdarli się oni do 10 chat. Ogólny wzorzec polegał na silnym pobiciu męża, żony i sterroryzowaniu dzieci. W pewnej sali posadzili oni 5 dzieci na ławie i otoczyli je stosem drewna, grożąc, że je podpalą. W innej przygotowali oni pewną 16-letnią dziewczynę do zbiorowego gwałtu. Została ona jednak puszczona wolno, gdy pewien żołnierz, badając przy świetle latarki jej organa płciowe, uznał, że jest ona chora wenerycznie. Ponieważ istniała całkowita bariera językowa, mieszkańcy wioski nawet jeśliby mieli jakiekolwiek informacje na temat Vietcongu, nie mogliby ich przekazać. Do kulminacyjnego punktu tej akcji doszło w dziesiątej chacie. Ten sam żołnierz który znowu posłużył się swą latarką, stwierdził, że przebywająca tam młoda matka nie jest chora wenerycznie. Pięciu uczestników patrolu kolejno ją zgwałciło. Mąż jej, przetrzymany przez straż na zewnątrz chaty, podniósł taki krzyk, że „marines" zdenerwowali się. Rozstrzelali oni całą rodzinę: męża, jego siostrę, żonę i dwoje dzieci. Wracając następnego dnia na to miejsce odkryli, że jedno z dzieci, 5-letnia dziewczynka, znajduje się nadal przy życiu. Jeden z „marines" rozbił dziewczynce głowę kolbą swego M-14...".

Propagandzie amerykańskiej coraz trudniej mówić, że są to wypadki odosobnione. A ile zbrodni pozostaje w ukryciu? O ilu nie wie światowa opinia publiczna?

Nie potrzeba wielkich słów, długich komentarzy. W pracy lektorskiej wystarczy przytoczyć taką relację z powołaniem na źródło, nie nasze przecież, ale brytyjskie. Nasi słuchacze umieją myśleć, umieją sami wyciągać wnioski. Zwłaszcza słuchacze polscy, którzy ciągle mają jeszcze w pamięci zbrodnie hitlerowskie. Żądając zakończenia wojny w Wietnamie, żądać będziemy jednocześnie położenia kresu okrucieństwom „marines" i przed oczyma będziemy mieli tę rozstrzelaną rodzinę, to wietnamskie dziecko, którego głowę zmiażdżyła kolba amerykańskiego M-14...

Za Bugiem

PAŹDZIERNIKOWY numer białoruskiego czasopisma literacko-społeczno - politycznego „Połymia" (Mińsk 1969) przynosi szereg nowych wierszy i opowiadań oryginalnych oraz tłumaczonych z rosyjskiego. W numerze są też materiały, które specjalnie mogą zainteresować czytelnika polskiego. Do takich należy reportaż Ryhora Siemaszkiewicza pt. „Liczyła kukułka dni..." o przeżyciach młodego nauczyciela w jednej ze współczesnych wsi zachodniobiałoruskich.

Reportaż jest realistyczny. Dowiadujemy się o zwykłych i rzeczywistych sprawach, jakimi żyje wieś współczesna na Białorusi. Przewija się również sprawa polska. Niejaki Mieczuś (Mietek) pochodzi z drobnej szlachty, w domu jego dzieciństwa „mówili tylko po polsku", on zresztą i obecnie „dobrze po polsku umie". Córka z jego mieszanego małżeństwa, Marysia, deklamuje polskie wiersze. W sąsiedniej wsi jest kościół, urzęduje w nim polski ksiądz katolicki. Przy spotkaniu z autorem ksiądz interesuje się jego wiadomościami i znajomością literatury: zapytuje o powieści polskie „Ogniem i mieczem" i „Faraona". Ksiądz, któremu, jak się okazuje, wojna przeszkodziła ukończyć Uniwersytet Wileński, interesuje się, czy w Uniwersytecie Mińskim uczą języka polskiego.

A oto dalszy obrazek:

„Podjeżdża do nas na błyszczącym motorze „Jawa" młody chłopak, listonosz. Podnosi się z siedzenia motoru, zdejmuje czapkę, pozdrawia księdza „Niech będzie pochwalony" i podaje mu „Życie Warszawy" oraz gazetę rejonową „Sciah pracy". Ksiądz dziękuje i zwraca uwagę listonoszowi, żeby jeździł ostrożniej, bo obecnie wielu ludzi ginie w wypadkach drogowych". Następuje potem interesująca rozmowa o znaczeniu języka łacińskiego.

W tym reportażu przedstawiony jest również okres przygotowywania się chłopów do świąt Bożego Narodzenia według obrządku katolickiego. Jak twierdzi jedna z miejscowych kołchoźniczek, ludzie lubią święta, chętnie więc biorą udział w świętach państwowych i kościelnych. Jest tu również bardzo ciekawa ocena elementu polskiego u Białorusinów obecnych obwodów zachodnich, poruszona jest też sprawa repatriacji po drugiej wojnie światowej.

Wartość historyczną mają artykuły dotyczące ruchu rewolucyjnego Białorusinów w Polsce międzywojennej. Alaksandra Berhman umieściła szkic o Bronisławie Taraszkiewiczu, działającym wtedy w chłopsko-robotniczej „Hramadzie", który był więźniem wielu więzień sanacyjnych. Wzruszająca jest wiadomość o tym, że Taraszkiewicz rozpoczął w więzieniu tłumaczenie „Pana Tadeusza" na język białoruski. „Przekład „Pana Tadeusza" w warunkach więziennych — pisze A. Berhman w omawianym artykule „Za więziennymi kratami" — miał znaczenie, które znacznie przekraczało granice faktu literackiego. To, że białoruski rewolucjonista, uczony i literat, tłumaczy w polskim więzieniu wybitny utwór klasyka literatury polskiej, świadczyło o internacjonalistycznej jedności narodu białoruskiego i polskiego, o ich wspólnym celu w walce przeciwko uciskowi. Bronisław Taraszkiewicz był szczerym przyjacielem polskiego ludu i jego kultury".

Historii okresu międzywojennego dotyczy również artykuł Alaksieja Sarokina pt. „Kresy w ogniu". Interesująca jest postać legendarnego prawie w owym czasie partyzanta białoruskiego Muchy-Michalskiego.

Numer przynosi ponadto szereg recenzji i omówień najnowszych książek wydanych na Białorusi, oraz inne materiały publicystyczne.

M. Ł.

Po 25-leciu PRL

Sprawy najważniejsze

Z okazji zakończenia jubileuszowego roku XXV-lecia PRL redakcja „Kameny" zwróciła się do redaktorów naczelnych regionalnych pism społeczno-kulturalnych z jednym tylko pytaniem: Co uważacie za najważniejsze osiągnięcie w dziedzinie kultury w rejonie, objętym bezpośrednim działaniem Waszego pisma?

Niewątpliwie każdy z zaproszonych mógłby napisać na ten temat obszerne studium. W każdym przecież województwie dokonania kulturalne XXV-lecia były bardzo duże, wszechstronne, kształtujące życie codzienne milionów ludzi. Specyfiką kultury socjalistycznej jest to, że współtworzy ona całą naszą rzeczywistość, że jej oddziaływanie wpływa na wszystkie dziedziny naszego życia — politykę, gospodarkę, oświatę technikę. I także to, że jej korzenie tkwią w aktywności mas.

Ale obok tych osiągnięć, wspólnych wszystkim, każdy region ma jednak swoje własne, specyficzne trudności i osiągnięcia w ich przełamywaniu. I o to właśnie nam chodziło — o sprawy specyficzne dla poszczególnych województw. Musieliśmy też narzucić naszym kolegom krótką, jedno, półtorastronicową formę wypowiedzi. Stąd też lapidarność ujęć. Sądzimy jednak, że mimo wszystko uzyskaliśmy jakiś zarys panoramy życia kulturalnego znacznej części naszego kraju.

„Głos Młodzieży Wiejskiej"

Tadeusz Leśniak:

Różne mogą być kryteria wartościowania w odpowiedzi na postawione pytanie. Wszystko okazuje się być ważne i upomina się o wyróżnienie. Dla wielu dziesiątków tysięcy mieszkańców krakowskiego regionu najważniejsze okazać się mogą tysiące kilometrów nowych dróg o twardej nawierzchni. One bowiem warunkowały często przybliżenie kultury do gromad i osiedli. Kilkaset tysięcy mieszkańców Krakowskiego osadzi swój awans kulturalny w wyjściu ze wsi do zurbanizowanych i uprzemysłowionych ośrodków miejskich. Inni znajdują go w uprzystępnieniu powszechnej oświaty i możliwości masowego przekroczenia progów wyższych uczelni.

Kraków, stara kolebka ruchu umysłowego, stał się w naszym 25-leciu prawdziwą metropolią naukową. Studiuje tu obecnie prawie 45 tysięcy studentów, podczas gdy w roku 1938 sięgało po indeksy w całym kraju zaledwie 49 tysięcy młodych ludzi. Pomijam tu już elitarny charakter dostępu do uczelni. Nasza stolica województwa — Kraków — posiada dziś blisko 4,5 tysiąca pracowników naukowych, podczas gdy w Polsce przedwrześniowej wszystkie uczelnie w kraju zatrudniały trzy tysiące ludzi z tytułami naukowymi. Wymowa tych liczb przesądzać może lokatę osiągnięć kulturalnych.

Pytanie „Kameny" posiada wszakże charakter osobisty. Z osobistego więc punktu widzenia podchodząc, w moim odczuciu, szczególnej rangi osiągnięciem kulturalnym, w wyniku przeobrażeń 25-lecia, jest zaawansowana integracja metropolii kulturalnej — Krakowa — z województwem. W jej to bowiem wyniku wszystko to, co było dorobkiem wielowiekowej kultury, wszystkie zasoby dóbr kulturalnych, zostają uprzystępnione c a t e m u regionowi. Jeśli bowiem Miechów, Chrzanów czy Nowy Sącz nie przyjedzie dziś do krakowskiego teatru, to teatr ten sam trafi do nich. Trafi Filharmonia ze swoim programem objazdowym, muzealna czy plastyczna wystawa, literaci i artyści. Koordynacja ta nie zrodziła się automatycznie, wraz z naszym wyzwoleniem, w roku 1945. Stała się dorobkiem sił społecznych i politycznych, tych, które praktycznie pojmowały hasło: stworzenie wszechstronnych warunków rozwoju kultury i uprzystępnienie wartości kulturalnych w najszerszych kręgach społecznych należy do podstawowych zadań naszego ustroju.

„Kontrasty"

Krystyna Marszałek-Młyńczyk:

Wszelkiego rodzaju indywidualne obrachunki mają charakter subiektywny. Gdybyśmy zapytali bibliotekarza czy księgarza, co uważają w 25-leciu za największe osiągnięcie, na pierwszy plan wysunęliby kulturotwórczą rolę książki i jej masową, społeczną recepcję. Gdybyśmy poprosili o podobną wypowiedź muzeologa czy historyka sztuki usłyszelibyśmy o roli muzeów jako uniwersytetów kultury. Pracownicy domów kultury mówiliby o rozwiniętych niepomiernie formach upowszechniania kultury a twórcy o podobnie eksponowanej społecznie pozycji sztuki. I nie byłoby w tych wypowiedziach nic zaskakującego, bowiem w warunkach województwa białostockiego wszystko, co wiąże się z kulturą, nie jest starsze od Polski Ludowej — i cały system państwowych placówek artystycznych i oświatowych, i środki masowego przekazu (prasa, radio, telewizja, film, książka), i środowiska twórcze, i niezwykle żywotne zaangażowanie społeczne w rozbudowę placówek kultury, amatorski ruch artystyczny i kultywowanie regionalnych tradycji.

Wszystko to jest wymierne, ma swój wyraz we wskaźnikach i statystykach. Gdybym jednak jako dziennikarz miał odpowiedzieć na postawione na wstępie pytanie, odparłabym bez wahania, że największym dla mnie osiągnięciem 25-lecia na Białostocczyźnie jest powstanie własnych środowisk twórczych, a co za tym idzie przekształcenie się województwa z konsumenta dóbr kultury w twórcę i to takiego, który ma coś własnego, oryginalnego do dorzucenia do ogólnego skarbca polskiej kultury.

Wspomnijmy tylko plenery malarskie, które od pięciu lat ściągają twórców z całego kraju dla wspólnego przeżywania uroków przepięknej Puszczy Białowieskiej, stanowiącej natchnienia wielu pokoleń twórców. Wspomnijmy o ogólnopolskich festiwalach poezji i muzyki starających się wynajdywać w różnych dyscyplinach sztuki to co je łączy, to co stanowi ich podłoże i czynnik cementujący. Wspomnijmy o poczynaniach architektów szukających wzorów dla współczesnej architektury w pięknie i mądrości regionalnej sztuki i rzemiosła artystycznego. Wspomnijmy wreszcie o środowisku literackim, raczkującym jeszcze, ale już zdobywającym nagrody w krajowych szrankach, dzięki swej ekspansywności i mocnemu powiązaniu z własnym regionem. A wszystko zaczęło się właściwie od przełamania kompleksów i zrozumienia, że każdy region może wnieść wiele do skarbca kultury, jeżeli potrafi w sposób umiejętny połączyć to co nowe, z tym co oryginalne, warte uchronienia i pielęgnacji.

„Nadodrze"

Bolesław Soliński:

Pytanie postawione przez Redakcję nie wydaje mi się w odpowiedzi łatwe do sformułowania. 25 lat w przypadku naszego lubuskiego regionu to przecież cała nasza współczesna historia, która w wyniku wyzwolenia zaczęła się w roku 1945. Co od tego czasu po dzień dzisiejszy stało się największym faktem?

Wydaje mi się, że najważniejszym i największym naszym osiągnięciem, kiamrowanym datami jubileuszu, poza odbudową i rozbudową, to fakt pełnej społecznej integracji, w której i szeroko pojęta działalność kulturalna ma swe określone i zasłużone miejsce. A więc integracja, ta nasza wewnątrzregionalna i ta potraktowana jak najszerzej w sensie pełnego włączenia się w ogólnokrajowy organizm we wszystkich dziedzinach życia. Jest to sfera spraw typowych tylko dla ziem zachodnich, które do przerwy w swym historycznym i polskim życiorysie nawiązały dopiero z chwilą powrotu do macierzy. Jest to w moim przekonaniu osiągnięcie największe i podstawowe, inne są tylko pochodną tych procesów.

Przechodząc do osiągnięć kulturalnych idących w parze z postępującymi procesami integracyjnymi, wymieniłbym w pierwszej kolejności społeczny ruch regionalny, skupiony na naszym terenie wokół zasłużonego dla kultury Lubuskiego Towarzystwa Kultury, do dziś będącego wzorem dla podobnej działalności w kraju. W nim to znalazła ujście do działania tak nam potrzebna inicjatywa społeczna, owocująca później konkretnymi już faktami kulturalnymi. To właśnie LTK uświadomiło przed kilkunastu laty możliwość wydawania w Zielonej Górze własnych książek w sensie edytorskim i autorskim oraz własnego periodyku społeczno-kulturalnego. Nie muszę dodawać, że stało się to jednym z elementów przyspieszających powstanie później zielonogórskiego oddziału ZLP (1961 — 5 członków, 1969 — 13 członków).

W ten sposób doszliśmy do zagadnienia lubuskich środowisk twórczych, zjawiska, które przynajmniej moim zdaniem jest niezwykle ważnym naszym osiągnięciem kulturalnym w ciągu minionego ćwierćwiecza. Na terenie pozbawionym zupełnie tradycji w tym względzie, na którym we wszystkich dziedzinach należało zaczynać od przysłowiowego zera, posiadamy w roku jubileuszu pełną panoramę autentycznych środowisk twórczych, znanych i cenionych w kraju, na miarę swych możliwości wzbogacających polską kulturę i sztukę. I może właśnie dlatego Zielona Góra, małe peryferyjne miasteczko przed rokiem 1945, stało się dziś miastem ogólnopolskich i międzynarodowych festiwali.

Wszyscy w kraju kojarzą chyba już to miasto nie tylko z tradycyjnym winobraniem (tu ukłon w stronę „Kameny" za piękny numer wymienny z „Nadodrzem"), ale i ogólnopolskim festiwalem piosenki radzieckiej, międzynarodowym festiwalem zespołów pieśni i tańca, sympozjum i wystawami Złotego Grona, a ostatnio festiwalem filmów polskich (Łagów). Nieobce świadomości polskiego widza teatralnego są chyba również nasze oba teatry dramatyczne w Zielonej Górze i Gorzowie, ważny dowód nie tylko naszego awansu, ale i kulturalnej aktywności.

Osobną dziedziną, będącą również dorobkiem minionego ćwierćwiecza, to życie naukowe. Zielona Góra „dorobiła się" w tym czasie własnej wyższej uczelni: Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Pierwsi jej absolwenci pracują już w lubuskich fabrykach.

Nie byłbym redaktorem, gdybym nie wspomniał na zakończenie również o naszym „Nadodrzu", które zaczynając przed czternastu laty od jednodniówek, w nowy, jubileuszowy rok 1970 wkracza jako ustabilizowany już dwutygodnik i to w aurze społecznego nacisku na dalszą zmianę częstotliwości.

Szczupłość przydzielonego mi miejsca nie pozwala na rozwinięcie wszystkich tych kwestii. Wypunktowałem moim zdaniem najważniejsze w interesującej mnie dziedzinie jak i w tej, którą od lat interesuje się „Nadodrze".

„Odgłosy"

Jan Koprowski:

Ponieważ Łódź należy do miast wydzielonych, myślę, że powinienem mówić osobno o mieście i osobno o województwie. Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że największym osiągnięciem Łodzi w 25-leciu powojennym jest powstanie tutaj szkolnictwa wyższego, którego miasto nigdy nie posiadało. Uniwersytet, Politechnika, Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Teatralna, Filmowa, Plastyczna i Muzyczna nadały Łodzi charakter prężnego ośrodka naukowo-artystycznego, co ma również poważny wpływ na rozwój przemysłu oraz na życie społeczne i kulturalne. Do dalszych osiągnięć zaliczyłbym wybudowanie Teatru Wielkiego Opery i Baletu na 1300 miejsc, z nowoczesnymi urządzeniami, doskonałą akustyką i dobrym usytuowaniem w pejzażu architektonicznym miasta. Kilkuletnia działalność tej sceny dowiodła jak słuszna była inicjatywa. Dziś łódzki Teatr Wielki należy do przodujących scen tego rodzaju w Polsce.

Jeśli natomiast chodzi o ziemię Łódzką, za najważniejsze inwestycje o charakterze kulturalnym uznałbym wybudowanie pięknego Domu Kultury w Radomsku i Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie. W tych dwóch (nie jedynych zresztą) inicjatywach łączy się w sposób symboliczny współczesność i historia. Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie przypomina o bohaterskiej postawie ludności województwa łódzkiego w latach okupacji, Dom Kultury w Radomsku jest nie tylko ośrodkiem życia kulturalnego tego miasta, ale także ogniskiem, promieniującym na całą okolicę. Trudno o bardziej wymowny obraz przemian, które dokonały i dokonują się po wojnie na ziemi łódzkiej.

„Pobrzeże"

Józef Narkowicz:

Kiedy myślą cofam się do lat minionych i szukam wydarzeń najważniejszych w życiu kulturalnym regionu, muszę wymienić przede wszystkim datę 28 czerwca 1950 roku. W dniu tym zapadła sejmowa ustawa o utworzeniu województwa koszalińskiego. Od tego momentu zaczyna się awans kulturalny koszalińskiego regionu.

Z chwilą wyodrębnienia się województwa poczęły powstawać placówki kulturalne i środowiska twórcze, jakich istnienie w mieście wojewódzkim przewiduje niepisany, lecz obowiązujący w praktyce, schemat organizacji życia kulturalnego w Polsce. Spośród wielu nurtów życia kulturalnego nie potrafię wybrać jednej dziedziny, o której mógłbym powiedzieć: ma największe osiągnięcia w 25-leciu. W życiu młodego regionu, startującego do samodzielności z pewnym opóźnieniem w stosunku do innych województw, ważne było ukazanie się we wrześniu 1952 r. pierwszego numeru „Głosu Koszalińskiego", premiera w styczniu 1954 r. „Ślubów panieńskich" na scenie nowo utworzonego Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, który potem uzyskał miano jednego z lepszych teatrów z prowincji; pierwsze koncerty Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej i przyjazd w 1954 r. grupki młodych plastyków, którzy w 10 lat później zwrócili uwagę kraju plenerem w Osiekach; plenerem, który dał początek krajowej epidemii plenerów.

Dla życia naukowego, dla powstania w 1965 r. oddziału ZLP, powołania w 1964 r. Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Koszalinie i w 1969 r. Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Słupsku, niemałe zasługi położyło Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne — inicjator badań i prac naukowych, wydawca książek i kwartalnika „Zapiski Koszalińskie", z którego zrodził się miesięcznik społeczno-kulturalny „Pobrzeże".

Uznaję więc za najważniejszy moment utworzenie województwa. W 20 lat od tego wydarzenia Koszalin ma ukształtowane środowisko twórcze, podstawowe zawodowe placówki artystyczne, zalążki życia naukowego i ruchu wydawniczego oraz dostateczną sieć domów kultury, klubów, świetlic i bibliotek. I jeśli szukać cechy charakterystycznej w rozwoju życia kulturalnego w regionie koszalińskim, to polega ona na działaniu społecznym. Wszak teatr, orkiestra symfoniczna, Ośrodek Badań Naukowych, kwartalnik „Zapiski Koszalińskie" i wiele innych instytucji powstawały jako stowarzyszenia społeczne, grupujące garstkę entuzjastów.

„Pomorze"

Zdzisław Wróbel:

Województwo bydgoskie, które przed wojną należało raczej do regionów zaniedbanych w rozwoju kultury, może się poszczycić obecnie tyloma osiągnięciami, że naprawdę trudno jest wskazać, które z nich liczy się najwięcej. Sławę międzynarodową zdobyła Filharmonia Pomorska, która właśnie wróciła ostatnio z jednej ze swoich licznych podróży zagranicznych, znaczące miejsce w życiu teatralnym kraju zajmują Festiwale Teatrów Polski Północnej w Toruniu, toruńscy i bydgoscy plastycy i fotograficy zdobywają raz po raz nagrody na ogólnopolskich i zagranicznych konkursach, biblioteki uzyskują najwyższe w kraju wskaźniki wypożyczeń, a nakłady naszych czasopism społeczno-kulturalnych kilkakrotnie przewyższają nakłady podobnych pism w innych województwach.

Jeżeli jednak spojrzymy na całe 25-lecie z perspektywy dnia dzisiejszego, to wydaje się, że najważniejszym, decydującym dla dalszego rozwoju życia kulturalnego aktem było utworzenie w Toruniu w r. 1945 pierwszego i jedynego dotąd na obszarze na północ od Warszawy uniwersytetu, z silnie obsadzonym wydziałem humanistycznym, na którym kontynuowali swoje badania naukowe i pracę dydaktyczną wybitni specjaliści, dawniejsi profesorowie uniwersytetu wileńskiego i lwowskiego. Dopiero absolwenci tej nowej uczelni, noszącej imię wielkiego toruńczyka Mikołaja Kopernika, wnieśli twórczy ferment w życie kulturalne województwa, stali się inicjatorami wielu poczynań i przedsięwzięć, których wynikiem były wymienione wyżej osiągnięcia. Z uniwersytetu toruńskiego wywodzą się prawie wszyscy plastycy (a jest ich kilkuset w Bydgoszczy i Toruniu), większość dziennikarzy, pisarzy, działaczy kulturalnych we wszystkich miastach województwa. Dodajmy, że znaczna ich część pochodzi z klas dawniej upośledzonych, którym dopiero ludowa władza dała szansę awansu.

„Warmia i Mazury"

Henryk Panas:

Może to zabrzmi niewiarygodnie, ale najważniejszym osiągnięciem kulturalnym województwa olsztyńskiego było, w moim odczuciu, powstanie (1956) i działalność Stowarzyszenia „Pojezierze", co postaram się zwięźle uzasadnić.

Życie kulturalne wszystkich województw tzw. dawniej ziem odzyskanych rozwijało się mniej więcej jednakowo i wszędzie zmierzało przede wszystkim do odrodzenia polskości tych ziem. Wydarzeniem bez precedensu w historii XXV-lecia było powstanie „Pojezierza" z inicjatywy „oddolnej" grupy ludzi twórczych, związanych z czasopismem „Warmia i Mazury" i tworzących podówczas jego zespół redakcyjny. Efektem tej inicjatywy są następujące fakty kulturalne (najważniejsze): 1) „Panorama Północy", znany magazyn tygodniowy, 2) Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, 3) Wydawnictwo „Pojezierze" (około 200 pozycji książkowych i drugie tyle grafiki użytkowej), 4) Galeria Sztuki Współczesnej w zamku reszelskim, 5) — a) Pracownia tkactwa artystycznego, — b) Pracownia ceramiki artystycznej, — c) Muzeum w zamku reszelskim, — d) adaptacja tegoż zamku i jego zagospodarowanie, 6) zagospodarowanie zamku lidzbarskiego i założenie w nim muzeum, 7) zagospodarowanie zamku gilżyckiego i założenie w nim przedsiębiorstwa turystycznego (obecnie „Warszawa — Olsztyn"), 8) Założenie pierwszego w Olsztynie zakładu poligrafiki offsetowej i artystycznej, 9) finansowanie przez 10 lat skazanego na likwidację, najstarszego po „Kamenie" czasopisma regionalnego „Warmia i Mazury", 10) inicjowanie lokalnych stowarzyszeń społeczno-kulturalnych.

Każde z wyliczonych tu (najważniejszych tylko) osiągnięć „Pojezierza" stanowi konkretną i trwałą rzeczywistość, w większości znaną w całej Polsce, a dodajmy, że wywalczoną w ciężkich bojach z biurokracją, z „zawistnikami" i ludźmi małego ducha. Większość z twórców „Pojezierza" żyje dziś samodzielnym życiem, ale Stowarzyszenie realizuje wciąż nowe cele i nowe pomysły, o których zapewne znów usłyszymy (np. Kopiec Kopernika w Olsztynie).

Wanda Bachnicka

Zmęczenie

Padniemy na wysokie trawy
o które będą trącać trzmiele
przywieje do nas ciepły wiatr.
Słabo uśmiechnie się do ciebie
jak człowiek który dużo przeżył
i jest zmęczony

Lecz stąd polecą w błękit ptaki
i nagle zaśpiewają drzewa.
Tu nic wielkiego się nie stanie
i nikt tu nic nie zauważy
to tylko będą kroki
potwarzające do radości.

Warszawa

Dziś do ciebie przyjść nie mogę a... jutro?

Dokończenie ze str. 1

tów materialnych zdawałoby się na zawsze.

I oto po latach, stosunkowo niedawno, z gąszcza różnorakich problemów teatralnych wynurzył się znowu problem frekwencji jako czynnik rujnujący sens i ład organizacyjny sceny dramatycznej. Tym razem mamy do czynienia z problemem w skali krajowej (przynajmniej). Lublin mógłby więc znaleźć w owej okoliczności smutne pocieszenie dla swych zawiedzionych ambicji, gdyby nie to, że w jego teatrze, pierwszym teatrze Polski Ludowej, ten uprzykrzony problem frekwencji rozstawił po kątach wszystkie inne zasadnicze problemy teatralne.

Nie bez kozery wspominam na wstępie o kłopotach sezonów 1947/48 i 1948/49. Chciało mi się, prawdę mówiąc, zwrócić uwagę na fakt, że w tych szczenięcych, naiwnych latach ani przez głowę nie przeszło dyrektorowi Teatru Miejskiego, żeby walczyć z teatrem muzycznym jego własną bronią, dublując jego repertuar.

A bo Makaymilian Chmielarczyk, utalentowany aktor, na stanowisku dyrektora postępujący wedle zasady primus inter pares, myślał kategoriami aktora teatru dramatycznego, czyli pragnął, by miłośnik teatru miłował teatr dramatyczny, by aktor dramatyczny mógł realizować swój talent i swe marzenie artystyczne w zawodowym teatrze dramatycznym. I wierzę, iż żaden plan finansowy byłby Maksymiliana Chmielarczyka od tej postawy zasadniczej nie odwiódł.

Pozwolę sobie tutaj na coś może i nie w najlepszym guście — na autocytat, ale jest mi on potrzebny dla toku rozumowania.

Kilka miesięcy temu pisałam w „Kamenie" (nr 17 z 17.VIII), zastanawiając się nad zagadnieniem spadku frekwencji: *Wielkie trudności wymagają heroicznych środków do ich pokonania. Kierownictwo współczesnego teatru nie może czekać na widza biadoląc i żądając taryfy ulgowej dla przypadkowych zestawów repertuarowych.*

Mam wrażenie, iż za mało zdajemy sobie sprawę z tego, że w teatrze wojewódzkim układanie repertuaru wymaga dziś nie mniejszego talentu niż jego wykonywanie.

Pisałam też, że teatr musi być totalnie artystyczny, zaczynając od najniższego szczebla wtajemniczenia widza. I że do tego konieczne jest prowadzenie dwóch scen.

Niestety! Jesteśmy już prawie na półmetku bieżącego sezonu, a proszę się rozejrzeć w obecnej sytuacji: przecie Lublin właściwie nie ma życia teatralnego.

Państwowa Operetka wystawiła (bardzo ładnie) „Kram z piosenkami", od 1 grudnia na afisz weszła tam „Tysiąc i jedna noc" — wiadomo, teatr muzyczny. A co mamy w teatrze dramatycznym, Teatrze im. J. Osterwy? Czwarty już miesiąc również widowisko muzyczne „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", oprawioną w pomysłową dekorację memorialną składankę z autentycznych pieśni partyzanckich, nabrzmiałych wielkim uczuciem. Radio, telewizja i prasa podawały relacje o niesłychanym powodzeniu widowiska w Stanach Zjednoczonych. Bez wątpienia z nie mniejszym spotkać się może ten spektakl na wszystkich kontynentach. Naliczono dwanaście milionów Polaków za granicą, rzecz tak patriotyczna z pewnością zrobi wśród nich dobrą robotę. Jest chyba nawet potrzebniejsza za rubieżą. Lecz wróćmy do Lublina...

Lubelski teatr dramatyczny gra widowisko muzyczne w siedzibie, jak się rzekło, już czwarty miesiąc, mając zapewnione komplety na wieczór i na dodatkowe popołudniówki — w piątek i światek. Sukces? Bezsprzecznie olbrzymi. Ale jest to sukces — parateatralny. Nieomal każdy obywatel Lublina uważa obejrzenie widowiska „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" za swój obowiązek patriotyczny. Nie łudźmy się, że widzowie-słuchacze wzruszającej składanki Budreckiego i Kanickiego staną się wytrawnymi miłośnikami teatru dramatycznego. Natomiast sposób gospodarowania dyrekcji Teatru Osterwy nagłym urodzajem kasowym nasuwa pewne niepokojące pytanie: jak ma zaspokajać swój głód teatralny miłośnik teatru dramatycznego w mieście o sześciu wyższych uczelniach — przez całe cztery miesiące, kiedy scena dramatyczna jest zablokowana widowiskiem muzycznym? Uprzytomniliśmy sobie za „Życiem Warszawy" (z dn. 3 ub. m.), że Warszawa posiada aż 24 teatry („podobnież" w relacji procentowej do liczby mieszkańców tylko „miasto Paryż" śmie się z nią równać), ale ty, biedny Lublinie, którego nie stać nawet na nowy gmach teatralny, dokądżeś skierujesz swoich studentów, profesorów, pedagogów, muzyków, plastyków, dziennikarzy itp., jeśli już raz widzieli „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"? Ano niech się narkotyzują TV.

Tymczasem opowieść dramatyczna „Ballada o tamtych dniach" i „Pan Jowialski", któremu dyrekcja nie dała dotąd zielonego światła na scenę w siedzibie nawet na premierę, tłuka się — passez-moi le mot — w głębokim terenie, bo dyrekcja chce nadrobić terenem i jedna pozycja w siedzibie niedobory planu finansowego, spowodowane nieprzemyślanym planowaniem repertuarowym.

Szanuję bardzo potrzeby kulturalne wszystkich miast i miasteczek Lubelszczyzny, wiem jednak nie od dzisiaj, że ilekroć Teatr im. J. Osterwy „uhonoruje" jedno z nich premierą, znaczy to zazwyczaj, iż spektakl jest „niedotarty", a plan finansowy nagli. Otóż będąc zaklętym wrogiem wysyłania w teren przedstawień niedopracowanych, jako stary, wierny przyjaciel teatru pozwalam sobie założyć na tym miejscu protest przeciwko podobnym praktykom — z tego prostego względu, że właśnie tam, gdzie chodzi o zdobycie nowego widza, trzeba prezentować teatr w jak najlepszej jego kondycji.

W związku z obchodzonym w 1969 r. 50-leciem istnienia SPATIFu — „ZASPu" postulował, pamiętam, August Grodzicki, by dyrektorzy teatrów nie ograniczali się do zasięgania rad w urzędach miejskich i wojewódzkich, które chciałyby mieć jak najszybciej obsadzone stanowisko kierownika placówki teatralnej. Krytyk warszawski wysuwał sugestię, że to właśnie Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu mogłoby stać się niejako instancją udzielającą kierownictwom teatrów akceptacji moralnej i artystycznej.

Rzecz jasna, że Grodzicki miał na myśli stworzenie takiej komórki przy Zarządzie Głównym w Warszawie. Ale muszę powiedzieć, że przecie i w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy był czas, kiedy dyrekcja nakłaniała jakoś ucha do opinii miejscowego Koła SPATiFu. Po raz drugi dzisiaj wołam — niestety! Albowiem obecnie zarząd lubelskiego koła stowarzyszenia zupełnie nie daje znaku życia, pozwalając się wyręczać w zagadnieniach bytowych i artystycznych Radzie Zakładowej.

A wszakże SPATIF miałby niemało do powiedzenia w sprawie konieczności wzmocnienia w dyrekcji autorytetu kierownika artystycznego w kwestii właściwego układu repertuaru, słusznej obsady sztuk, pracy aktora nad sobą, uzupełniania jego wiedzy kontaktem z wybitnymi ludźmi teatru, wyjazdami na wybitne spektakle w innych miastach. Miałby szczególnie dużo do powiedzenia w kwestii racjonalnego wykorzystywania dyspozycji młodych aktorów, którzy dziś stanowią w zespole większość, a są zaganiani wygórowanym planem objazdowym aż do mylenia obojętności z dyscypliną artystyczną.

I SPATIF również mógłby się domagać uruchomienia wreszcie zbyt długo przyrzekanej drugiej sceny, sceny eksperymentalnej, bez której trudno dziś o postęp.

Powtarzam — Lublin nie ma obecnie życia teatralnego, bo życie teatralne to nie tylko powodzenie jednej pozycji repertuarowej, ale cała artystyczna otoczka teatru.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Studzianki

Fot.: B. Dudk

Zbigniew Waldemar Okoń

Żołnierze Kredowych Wzgórz

Słowo o ludziach wstępne

kto powiedział to jest zła kobieta
kto strach przyniósł i rzucił ojcu znów pod nogi
kto przed słowem moim jak przed psem ucieka
kto się człowieka tak jak człowiek boi

a chciałem was tylko toporu nauczyć
z nożem zapoznać brzytwą się pochwalić
a chciałem wam tylko opowiedzieć ludzi
którzy inaczej niż my umierali

Słowo o żołnierzach ostrzegające

potem odwołasz wszystkie wróżby
robactwo w kościach się zagnieździ
oni powrócą echem smutnym w żołnierskiej pieśni

przewali się przez ciało ziemia
horyzont spadnie ci pod nogi
żołnierzy z baśni pozamieniasz
w krzyże przy drodze

Słowo o krajobrazie wojennym

krajobraz wzgórzami opuchł
krwią przesiąkł jak mundur żołnierza
narastał górami okopów
krzyżami w oczy uderzał

pokochasz jeszcze to wzgórze
nim piorun niebo przełamie
imion zaklętych w marmurze
nauczysz się synku na pamięć

Słowo do matki smutne

kamieniem wrócą wspomnienia
krzyżami w pejzażu zostaną
grobami otworzy się ziemia
żołnierze nie wrócą mamo

będziesz wówczas jak Niobe
której nikt sławić nie będzie
lecz mówić będą o tobie
żołnierze z krwawej legendy

Słowo o ziemi protestacyjne

księżyc niebem powróci
ponad wzgórza kredowe
nie zobaczy już ludzi
baśń więc o nich opowie

o martwych bohaterach
w żołnierskich mundurach
co musieli umierać
na kredowych wzgórzach

II nagroda w Turnieju Jednego Wiersza zorganizowanym w związku z III Zjazdem Twórców Ziemi Chełmskiej.

Eksperyment się udał

Dokończenie ze str. 1

każdy dziś chyba rozumie, iż nawet system Dewey'a przestał już oznaczać nowoczesność w szkolnictwie, wielu zaś pracuje jeszcze wedle wzorów Herberta. Na razie podręczniki do nauczania eksperymentalnego ukazują się w powielonej formie. Dopóki kwestią tą nie zajmą się Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, dopóty rzecz zostanie w sferze wąskich prób, nie zaś w dziedzinie szerokiej praktyki. Oczywiście, współpraca specjalistów-naukowców z Instytutu Pedagogiki i nauczycieli-eksperymentatorów rozumie się tu sama przez się. Tak samo własna twórcza inwencja tych ostatnich.

Pilnej uwagi domagają się też dysproporcje w zakresie już sprawdzonych doświadczeń eksperymentu, a zatem gotowość do jego przeszczepiania i upowszechniania. Dotąd obejmował on przede wszystkim szkoły podstawowe i przede wszystkim przedmioty tzw. ścisłe. Mówiono wprawdzie na Sesji, że modernizację szkolnictwa trzeba rozpoczynać od szczebli najniższych, ale ten, teoretycznie słuszny, postulat musiałby na ostateczne sprawdzenie czekać aż kilkanaście lat, gdy dzisiejsi przedszkolacy dotrą do klas maturalnych.

Jeśli więc obok wprowadzania modernizacji w codzienną praktykę szkół nadal będzie trwała równoległa akcja eksperymentatorska, to warto, by metodycznie objęła problem specyfiki przedmiotów humanistycznych oraz liceów ogólnokształcących i techników zawodowych. Jasna sprawa, i o tym mówiono podczas Sesji, że mechaniczne przeszczepianie doświadczeń na wiele się tutaj nie zda. A przecie czekać nie wolno, jeśli postulat powszechnego wdrożenia zasad eksperymentu w przyszłym pięcioleciu ma się okazać realny. Z tym bezpośrednio wiąże się konieczność bardziej ścisłego i stałego kontaktu naukowców-pedagogów z nauczycielami w liceach oraz technikach. Dotąd kontakty owe były zbyt sporadyczne, a zatem luźniejszy był związek teorii dydaktycznej z praktyką w tych szkołach.

Może uwzględnienie owej specyfiki, oraz konieczności trwałej współpracy naukowców z nauczycielami na rzeczonym odcinku, pozwoliłoby na przykład w liceum wprowadzić klasy ściśle specjalistyczne czy obok pracy zespołowej należycie zorganizować pracę masową (wykład) oraz pracę indywidualną, prowadzoną częściowo metodą seminaryjną — o czym także się mówiło w trakcie obrad. W ogóle kwestia zmiany organizacji pracy w szkołach jest przy wprowadzaniu nowego systemu nauczania zagadnieniem podstawowym. Nie da się bowiem połączyć postępu pedagogicznego z systemem klasowo-lekcyjnym, czy choćby tylko z trójdzielnym modelem lekcji 45-minutowej, co bardzo przekonywająco wyłożył w dyskusji na sekcji liceów ogólnokształcących Włodzimierz Pluta, polonista z liceum w Chełmie. Potrzebna jest bowiem reforma totalna, o charakterze systemowym.

Oczywiście w tym wszystkim jest do przemyślenia sprawa form współpracy nauki ze szkołą. Tak samo do przemyślenia zostaje konieczność zwiększenia proporcji dyscyplin pedagogicznych na niektórych wydziałach uczelnianych. Mówili o tym sami pracownicy naukowi, boć z grona absolwentów wyższych uczelni rekrutują się nauczyciele w zakresie szkolnictwa średniego, których wiedza pedagogiczna gwarantuje postęp pedagogiczny. Niby drobiazg — na odpowiednich wydziałach uniwersyteckich brak zajęć z zakresu prowadzenia ogródków szkolnych; kto zatem ma się fachowo opiekować tymi ogródkami w szkołach? W kwestię eksperymentu szkolnego powinni być zaangażowani nie tylko naukowcy z katedr pedagogiki, lecz również pracownicy katedr o innych specjalnościach, z czym dotąd rozmaicie bywało, choć nie zawsze beznadziejnie.

Dopiero takie nastawienie uczelni i takie ich częściowe wymodelowanie może wyjść na przeciw postulatowi IV Plenum KC PZPR o silniejszej więzi nauki z praktyką naszego życia. Należy przy tym pamiętać o celach dalszych. Przecie sam postęp pedagogiczny nie może się sprowadzać tylko do wypracowania doskonałego systemu, umożliwiającego uczniowi ogarnięcie i choćby najbardziej twórcze wykorzystanie pewnego zespołu wiedzy. Istnieje kwestia celów światopoglądowo-ideowych naszej szkoły, mająca ważne odniesienia właśnie w dziedzinie przedmiotów humanistycznych. Trzeba szukać optymalnego rozwiązania tego problemu w połączeniu — rzecz jasna — z mechaniką eksperymentu.

I wreszcie kwestia ostatnia — sprawa kwalifikacji nauczycieli. Znów mści się luka programów uczelnianych w zakresie wiedzy pedagogicznej. Najgorzej przygotowani pod względem pedagogicznym są nauczyciele przedmiotów zawodowych. Formalny raczej egzamin z okazji „mianowania" nauczyciela o niczym, a w każdym razie o wszystkim tu nie świadczy. Ta kwestia „bolesna" znajduje swe echo także w dziedzinie szkolnictwa podstawowego. A przecież dochodzi tu jeszcze potrzeba stałego dokształcania się nauczycieli w zakresie problematyki eksperymentu. Padła cała lawina propozycji na ten temat: a to konsultacje z naukowcami, a to kursy śródroczne i wakacyjne, hospitacje zespołowe, lekcje koleżeńskie, zespoły przedmiotowe... Rzeczy słuszne i konieczne. W takiej jednak sytuacji, gdzie tylko można, należy dbać o odciążenie nauczyciela z zajęć dodatkowych, jeśli ma mieć czas na pracę zasadniczą i równocześnie pogłębianie swej wiedzy w zakresie nowego systemu nauczania. W zapleczu wyłania się też sprawa bodźców ekonomicznych. Bywają tu błędne koła — nauczyciel uzyskuje zniżkę godzin w związku z potrzebą wygospodarowania czasu na dokształcanie, ale równocześnie „odbiera" sobie te godziny jako dodatkowe, czyli założenia zniżki palą na panewce.

O wielu z tych kwestii mówiono podczas obrad Sesji. To dobrze, to znak, iż organizatorzy i uczestnicy eksperymentu widzą właściwe proporcje i perspektywy swojej działalności. Bowiem rozwiązywać można tylko problemy sensownie postawione. Aczkolwiek nie wszystko zależy tu od samych eksperymentatorów. W podsumowaniu Sesji kurator Kącki stwierdził: *Dotąd eksperyment kosztował stosunkowo mało. Powodzenie tej nowej akcji w znacznej mierze zależeć będzie od środków, jakie na postęp pedagogiczny przeznaczy Wojewódzka Rada Narodowa i rady terenowe. Dotychczasowy stosunek do naszych poczynań zarówno Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR oraz KW PZPR, jak też Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego oraz Prezydium WRN i władz powiatowych napawa nas przekonaniem, że potrzebne na ten cel fundusze będą zapewnione.*

Wypada mi podzielić to przekonanie. Myślę również, że warto by częściej organizować tak zakrojone i tak pierwszorzędnie zorganizowane spotkania, jakim była Sesja oraz towarzyszące jej imprezy (m. in. znakomita wystawa postępu pedagogicznego). Martwi mnie tylko zbyt chyba niski nakład (2 tys. egzemplarzy) niezwykle pożytecznych materiałów, które wydano z tej okazji, a których czwarty tom jeszcze się ukaże. Wobec blisko trzydziestotysięcznej rzeszy nauczycieli z samej tylko Lubelszczyzny wysokość nakładu zdaje się nieproporcjonalna. Ale to już sprawa drobniejsza. Ważne, iż sam eksperyment się udał, teraz trzeba pomyśleć, aby udało się jego upowszechnienie.

Maciej Podgórski

Kamena str. 4

O potrzebie ładu miłości i pokoju

Tadeusz Olszewski

WPRAWDZIE od śmierci Emila Zegadłowicza minęło już 28 lat, wprawdzie ma już pisarz swój pomnik przed gmachem liceum jego imienia w Wadowicach, lecz wciąż jeszcze odzywają się echa ataków, jakie przypuszczono na niego m. in. w roku 1935 po wydaniu „Zmór" i w dwa lata później, gdy ukazały się, zresztą niemal natychmiast skonfiskowane, „Motory".

Warto dodać, że te dwa tytuły zwykło się najczęściej łączyć z nazwiskiem Zegadłowicza. Inne — są po prostu nie znane przeciętnemu czytelnikowi. Wprawdzie niektórzy jeszcze pamiętają, że Zegadłowicz był także twórcą wspaniałych wierszy miłosnych oraz nastrojowego i oryginalnego cyklu ballad o powsinogach beskidzkich, ale już mało kto wie, iż literacki dorobek tego pisarza zamyka się liczbą 70 bez mała książek poetyckich, pięciu powieści (z których ostatnia — „Progi" — była tylko w niewielkich fragmentach publikowana na łamach poznańskiego „Nurtu" przez M. Kwiatkowskiego) oraz kilkunastu dramatów i paru przekładów (m. in. „Fausta" Goethego).

Ta nikła na ogół znajomość twórczości Zegadłowicza wynika częściowo z faktu publikowania przez pisarza niektórych książek w bibliofilskich nakładach (np. „Wrzosy" zostały wydane w 5 egz., „Pallas Atena" — w 13, a „Budziejowickie łąki" — w 30), po części zaś spowodowana jest zaginięciem większości rękopisów, pochodzących z lat 1938—41.

Z utworów powstałych w trzech ostatnich latach życia poety zachował się tylko dramat „Domek z kart" i przygotowany do druku, lecz nie wydany tom wierszy i prozy poetyckiej pt. „Dziewczyna". Rękopis „Dziewczyny" zaginął. Szczęśliwie jednak w gorzeńskich archiwach ocalał maszynopis, będący kopią trzeciego manuskryptu, przygotowanego do druku przez poetę. Jest to ostateczna wersja „Dziewczyny", opracowana przez Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym 29 sierpnia 1940 r. i przeznaczona do opublikowania. „Dziewczyna" nie doczekała się jednak ogłoszenia w całości *), a siedem niżej przedstawionych utworów nigdzie dotąd nie drukowano i pochodzą one z owego zachowanego maszynopisu. Maszynopis ten liczy 114 stron (brak str. 31—32) i zawiera 77 wierszy). Brakuje w nim ilustracji, które zdobiły zaginiony rękopis. Były to — jak wynika ze spisu dołączonego do egzemplarza maszynowego — następujące prace:

przed str. 3 — „Zaślubiny", obraz szkoły Ferrarejskiej z około 1470 r.; przed str. 17 — studium fotograficzne Man-Ray'a; przed str. 29 — „Samotnia górska" Antoniego Reinbolda; przed str. 49 — „Orszak dionizyjski" Fr. Stucka; przed str. 69 — „Uroczysko" K. Kalbera; przed str. 89 „Tęsknota", obraz nieznanego malarza; przed str. 105 — figura fundatorki z tumu Naumburskiego 1207—1242 r.; przed str. 109 — „Dom w brzezinie", F. Muller-Sandecha oraz w tekście na str. 58 — motyw z świątyni słońca w Egipcie (fotografia Aleksandra G. Stewarta).

W drukowanych poniżej utworach zmodernizowano pisownię maszynopisu — według obowiązujących reguł.

Tak jak postać dziewczyny jest dla poety symbolem mądrości, piękna, miłości i szczęścia, tak wiersze, zawarte w tomie, są pięknymi miłosnymi i filozoficznymi lirykami. „Dziewczyna" jest książką na wskroś przepojoną głęboką humanistyczną myślą, książką o potrzebie ładu, miłości i pokoju. I to stanowi jej trwałą wartość.

Korzystając z łamów „Kameny" chciałbym przy okazji zaapelować do wydawców, by zainteresowali się tą piękną i ważną w naszej literaturze pozycją.

Na koniec pragnę gorąco podziękować kustoszowi Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym, wnukowi poety — p. Adamowi Rudlowi, za udostępnienie mi maszynopisu „Dziewczyny".

*) 11 utworów z cyklu „Dziewczyna" wraz z komentarzem, omawiającym ten tom, opublikował w nr 4 (z kwietnia 1966) „Poezji" Milan Kwiatkowski (utwory: „Spotkanie drugie", „Sen głogowy" i „Ziemia" przedrukowujemy za „Poezją"). Ponieważ przy przygotowywaniu niniejszego materiału korzystałem z tego samego, co p. Kwiatkowski, maszynopisu „Dziewczyny", więc zachodzi tu nieunikniona zbieżność części moich informacji z danymi, zamieszczonymi w „Poezji".

Fot. Agnieszka Weczer

Emil Zegadłowicz

Niewyrażalna

Wiatr wschodni znad Rzeki — od gór — zmierzwił i poburzył rozległą, kopiastą czuprynę wierzby; wiatr gorący i podstępny; — zaborczy jak miłość.

Zakotłowało się, rozszalało dookoła gęstych, gibkich gałęzi i zwinnych liści — białym, lotnym puchem, jak mglistą, rozstrzępioną pianą.

Podrzut wiatru przewiał ziarnisty puch poza dachy, brzozy, modrzewie i dęby.

Po prostu śnieg! — A to czerwiec — początek bardzo upalnego czerwca.

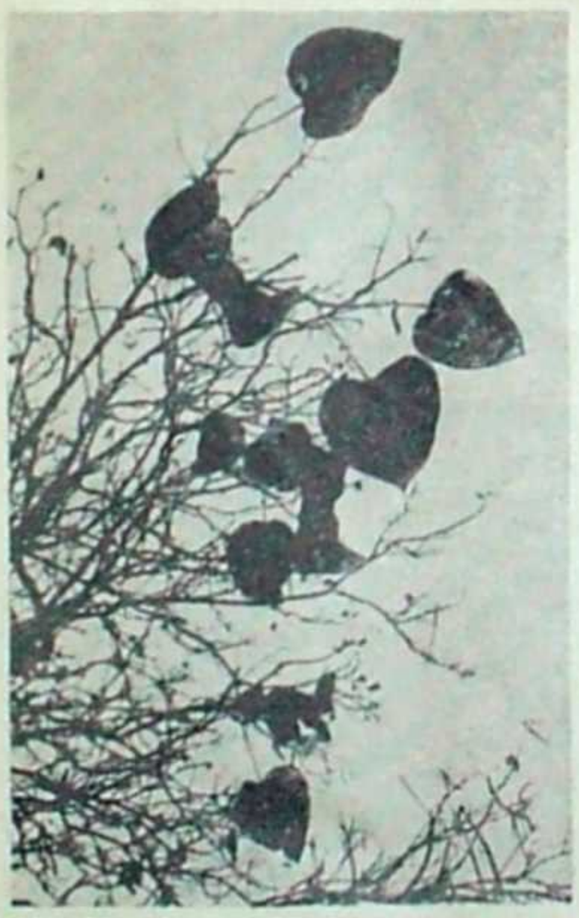

Fot. J. Mendychowski

Przez drewniany parapet balkonu przechyla się nad trawnikiem pokryślanym drożynami do studni, do gołębnika, do szosy — nad ogrodem i drogą — nad rozległą doliną zalesioną jodłami i sosnami aż po granatowe góry — przechyla się Dziewczyna. Jest w cienkim tureckim szlafroku, zarzuconym na niebieską, nocną koszulę; na gołych nogach ciemnoniebieskie sandały.

Dziewczyna — bez imienia i bez nazwiska, — o czarnych dużych źrenicach okolonych skromnie sinym białkiem, — o włosach granatowych, krótkich, nakrywających uszy, opadających na wspaniały, zwarty kark; włosy śmiałe i bezwzględne. Dziewczyna: Treść dni i nocy! — Jednolita i wieloraka! — A głos ma niski — zależnie od treści słów: rozległy lub gruchający.

I o niej będzie tych sto czy ileś tam stron; niepotrzebnie aż tyle! — O sto czy ileś tam stron za wiele. Bo, żeby wyrazić zachwyt, wystarczy widzieć i słyszeć; chcąc go opisać mało miliona stron.

Oto ziszczenie moje i twoje — wszystkich, którym rzadki, cudowny dar miłowania jest dany: Dziewczyna!

Ona melodią godzin, hejnałem południa, jutrznią poranną, zachodzącym pożegnaniem dnia.

A noc? — To sprawy odrębne. Kto by się pokusił określić jaki, jaki jest jej gwiaździsty sens, czym pokryte są łąki i łany zbóż, czy mgłą? czy światłem? czy zapachem? czy melancholią? — a czym wypełnione są wądoły i przełęcze? przytułki śpiących ech —; — czy ziemia nocna górami tęskni do gwiazd — czy bezdenią mórz w siebie patrzy i rytmu swego serca nasłuchuje — kto by to w pełni potrafił wyrazić musiałby umrzeć. Bowiem to, co jest w bycie najgłębiej i najistotniej tajemnicze — nie da się ani wyrozumieć, ani udowodnić, ani wypowiedzieć. To zabija!

Dziewczyna — jej zjawisko i istnienie, jej ruch i czynność, jej nakaz i nieodwołalność — jest tajemnicą.

W niej — patos trwania i mijania napełnia serce zadumą, a umysł niepokojem, nogi chłodem, ręce płomieniem — oczy i uszy szaleństwem — nozdrza obłędem.

I tak właśnie jest! — i tylko tak!

Można ją — Dziewczynę — jeśli kogoś ponad siły darzy i darem tym miażdży — wykreślić z ekliptyki — samounicestwieniem.

To wszystko.

Nic innego nie istnieje.

Gdy się nad nią, uciążliwą i nieuchronną, przechylisz gniewnie i zacięcie, jak nad lśniącym, głębokim jeziorem, odbijającym niebo odległe wśród fletni oczeretowych — możesz ją zmącić i kręgami wodnych fal spętać; skrzywdzić siebie można zawsze! Można zetrzeć swe oblicze z powierzchni dziejów!

Lecz tu przecież nie o ciebie, nieważny i znikomy, idzie — lecz o jej, Dziewczyny, zjawienie się w przestrzeni i czasie! — a może raczej w bezmiarze i wieczności?

Wszystko jedno! — Słowa wyrażają tak mało, są tak skąpe, mylące i leniwe, że można ją, w stronę słów nieoględnie zwróconą, nazwać: Niewyrażalną!

Ucieczki przed śmiercią

Cztery są drogi wiodące do wieczności. Złudnej zresztą jak każde trwanie. Właśnie przecież w wieczności sekunda znaczy tyle, co bilion stuleci.

Cztery: miłość, sztuka, wiedza, polityka.

Dzieje miłości fikcyjnych mają tę samą wagę i taki sam ciężar gatunkowy, co miłość ludzi „żywych"; bowiem fikcja trwania równa jest trwaniu.

Decyduje: mit!

Sztuka i wiedza są samowystarczalne.

Polityka wymaga utrwalenia: latopisa, historyka.

Miłość potrzebuje zatwierdzenia poety, muzyka, malarza.

Ponad wszystką mądrością jest Dziewczyna. Jest szczęściem.

A to więcej niż wieczność!

Rzodkiewki

Dziewczyna kupiła na małym, brukowanym rynku górskiego miasteczka rzodkiewki. — Ażurowa wieża wydzwaniała podwieczorną godzinę. — Dziewczyna wybierała pilnie pęczki — były już przymdlałe, zieleń ich była spłowiała.

Przez stare, średniowieczne, rozchwiane i strome podcienia wracała Dziewczyna w dół miasta — przed nią wylot ulicy zamykała niebieska góra. Domy u jej stóp zasłaniał skwarny pył.

Granatowy kostium, biała bluzka przecięta paskiem, biała krawatka w niebieskie groszki — granatowe trzewiki — niebieski kapelusz z jaśniejszym na krezie piórem w kształcie jaskółki — tak była odziana Dziewczyna schodząca stromą ulicą.

Spotkali się przed wielkim sklepem szkła i porcelany.

Przystanęli na chwilę, aby przyjrzeć się wystawie. — Za nimi zachodziło słońce za szklany dom jak za prostopadłą taflę jeziora; odbijało się w kryształach wystawy ostro i oślepiająco.

Gdy odeszli od okien, mieli w oczach punkty złote, iskry tęczowe, zygzaki seledynowe — w tym zalewie światłaków jak w zawiei barwnych gwiazd wracali do domu. Stąpali po uginających się aureolach — po ognistych kręgach, elipsach, parabolach. Sami byli światłem i wiewem.

W domu umyła Dziewczyna rzodkiewki — ożyły i zarumieniły się.

A poczęła je chrupać — czerwone i wilgotne — było jakby zjadła swe wargi; smak rzodkiewek był ostry i słony, jak smak gwałtowanych ust; jak krew.

Spotkanie drugie

Dziewczyna idzie — błękitna — wzdłuż płotu.
Jaskrawe światło słońca przesiewa się rózgami
poprzez wysokie sztachety.
Bita gęsto i piętko — Dziewczyna roztapia się w świetlistość i wodę.
Idzie jak samotna smuga deszczu wśród posuchy i pyłu.
Najrealniejsza niż kiedykolwiek. Elektronalna już
tylko. Sam żywioł.

Przestrzeni!

„— Okrążyłeś mnie, otoczyłeś sobą — osaczyłeś zewsząd — ty mój wielki, dobry, mądry — — nazbyt mnie okrążyłeś —"

„— Miłowaniu nie ma kresu, granic nie ma miłowaniu — jest ogniem i powietrzem, ziemią i morzem —"

„Jesteś w słońcu i księżycu, w gwiazdach i ich odbiciu w czarnych wodach oceanu —"

„— Świat i wszechświat wypełnia miłowanie moje — świat i wszechświat zaledwie je pomieścić może —"

„— No widzisz, widzisz! — dlatego mi właśnie tak bardzo źle, tak niedobrze, tak ciasno, tak więziennie! — — nie mam przestrzeni dla moich modlitw! —"

Dziewczyna mówi

Najniespodzianiej — nagle —
migotem! — Promień i strzała!
— a ziemia ognistym wybuchem
zadrżała i spąsowiała.

Purpurowe rzeki, czerwone lasy,
miasta w płomieniach — sztandarach —
— a ziemia sztywna, spowita w zorze
leży na czarnych chmurach — na marach —

Rozpruwam żyły rąk pustych,
by spisać dzieje człowieka —
po zastygłej ekliptyce
jak po obręczy — krew w nicość ścieka —

Przebudzona dziewczyna tak mówi

Kiedy mówię dzień dobry — nie słyszysz —
kiedy mówię dobranoc — nie patrzysz —
— szept nabrzmiewa do krzyku w tej ciszy
tak podobnej do głuchej rozpaczy.

Czy gorączka to? sen? — czy maligna? —
czy też życie z napła odtrwonione? —
któż odgadnie to i kto rozstrzygnie? —
czemu w świata patrzę wschodnią stronę? —

Szept gorący w ciszy lodowatej
w lód tężeje i w sople raniące —
— jak mi zimno! —
— W zaświatach
płoną myśli i rodzą się słońca.

Sen głogowy

Dziewczyna ma piersi małe, zwarte i wonne
jak poranny oddech jabłoni.
Z niczym porównać ich nie można! — Są swoistym,
odrębnym bytem — snem różowiejącego głogu na
śniadym wzgórku.
Gdy je twa dłoń nakryje — zasypiają jak pisklęta;
gdy je dotkniesz wargami, zakwitają wiosennym
odurzeniem.
Wszystkie mądrości i wiedze nie dorównują ich
harmonii; — rozmowa z nimi uświęca; istnienie
ich ułaskawia.

Dziewczyna śpiewa

Słowo miłosne — ekrazytowe —
padło na miasto,
padło ze świstem, —
syczącym łukiem
runęło w dom —

W serce tętniące — dynamitowe
uderzył słów twych
świetlisty grom —

Ziemia

Dziewczyna jest śniada i ciepła.
Śniada jak piasek nadmorski o złotym świcie.
Ciepła jak fala morska na płytkim południu.
Lubi w pełni lata nagość rozrzutną; swą nagość;
pełną czaru i wdzięku; niewinną, bo piękną!
Ziemia naga i Dziewczyna naga.
Wkłada też chętnie na głowę wieńce modre
Z bławatów, czerwone z maków, żółte z szczodrzeńców
i dziewann.
Zakwita jak ziemia.
Jest ziemią.
Słońce lśni na jej wilgotnej wardze.

Fot. J. Mendychowski

Szopka nałęczowska 1913 r

Tadeusz Kłak

NAŁĘCZÓW, dawna siedziba Małachowskich, a od roku 1880 jedno z najbardziej uczęszczanych uzdrowisk na ziemiach polskich, nazywany był przez prasę ówczesną kolonią literacką, co zawdzięczał częstej tu obecności ludzi pióra. Różnymi latami gościli w Nałęczowie tacy pisarze jak A. E. Odyniec, Deotyma, H. Sienkiewicz, A. Sygietyński, S. Witkiewicz, Or-Ot, J. Karłowicz, F. Faleński i K. Gliński. Nade wszystko zaś do rozgłosu Nałęczowa przyczyniały się stałe tu przyjazdy Bolesława Prusa i jego korespondencje z Nałęczowa, oraz działalność na tym terenie Stefana Żeromskiego, która przypadła na okres rewolucji 1905 r. Przedstawienia amatorskie, jakie pod patronatem autora „Przepióreczki" powstawały w Nałęczowie, pokazywano na deskach teatru lubelskiego, zaś o organizowanych przez Żeromskiego pod firmą „Światła" odczytach „Tygodnik Ilustrowany" w 1906 r. pisał, że nie powstydziłaby się ich i Warszawa. Dalej zaś:

Charakterystyczną cechą Nałęczowa, wyróżniającą go wśród innych stacji kuracyjnych w Polsce, z wyjątkiem Zakopanego, jest ta dziwna literacko-artystyczna kultura, którą tu czuć na każdym kroku i która miejscowości, samej przez się pięknej, nadaje urok i wdzięk pełny wykwintu i subtelnego smaku.

Słowa te odpowiadają prawdzie. Poświadczają je liczne artykuły o Nałęczowie w prasie ówczesnej, dziesiątki wspomnień i opracowań. Przede wszystkim zaś nałęczowskie sprawy uwieczniły się na kartach książek Żeromskiego — „Ludzi bezdomnych", „Róży", „Nawracania Judasza", „O Adamie Żeromskim wspomnienia"; w bardzo pełny sposób ukazała Nałęczów sprzed pierwszej wojny światowej Ewa Szelburg-Zarembina w swoim pięcioksiągu „Rzeka kłamstwa", na który złożyły się: „Ludzie z wosku", „Wędrówka Joanny", „Miasteczko aniołów", „Iskry na wiatr" i „Gaudeamus". Spojrzenie Żeromskiego i widzenie E. Szelburg-Zarembiny dopełniają się. Twórca „Ludzi bezdomnych" był mimo wszystko kimś z zewnątrz, zaś autorka „Miasteczka aniołów" na wszystko patrzyła niejako od środka, od dołu. Świat, do którego ona należała, był adresatem działalności Żeromskich, Daniłowskich i Morzyckich, a także działaczy związanych z konkurencyjnym wobec „Światła" środowiskiem Macierzy Szkolnej. Toteż w powieściach Szelburg-Zarembiny jest sporo krytycyzmu i dystansu wobec ich poczynań, są sceny pisane z ironią, groteskowe i mimo woli komiczne.

Ale — prócz tamtych — był w Nałęczowie jeszcze inny świat. Wystarczy pójść na cmentarz miejscowy, nagrobki jeszcze dziś wiele o nim ciekawego powiedzą. Spoczywają tu generałowie i oficerowie wojsk polskich z pierwszej połowy XIX wieku, marszałkowie szlachty, posiadacze dóbr na Wołyniu i Litwie, hrabiowie; znajdują się groby Sybiraków, weteranów powstań i wskrzesicieli Nałęczowa. Miejscowość ta stanowiła oazę takich właśnie ludzi, którzy tutaj dożywali swej starości. Już wówczas był to

Gliński buja na pegazie...

świat jako całość anachroniczny i zdziwaczały, godny pióra Balzaca czy Prusa. Stamtąd wywodzili się też działacze miejscowi, oni zasilali instytucje społeczno-kulturalne, których tu nigdy nie brakowało, dobroczynne, uprawiali politykę na nałęczowską skalę. Jednym słowem — świat godzien nie tylko dramatu czy komedii, ale po prostu i szopki. I taką szopkę ongiś o nim napisano.

Uczynił to Mieczysław Dzierżykray-Rogalski, pedagog i dyplomata, który przez wiele lat przebywał w Nałęczowie i miejscowe sprawy, dawne i nowe, znał doskonale. Dał tego dowód jako współautor podstawowej i nieocenionej do dziś książki „Z dziejów dawnego i współczesnego Nałęczowa", gdzie z pietyzmem podsumował i zamknął najbujniejszy okres w historii Nałęczowa. Wcześniej jednak uczynił to na inny sposób — właśnie pod postacią szopki.

Otrzymała ona tytuł „Demokratyczne abecadło nałęczowskie dla grzecznych starych dzieci na choinkę 1913". W alfabetycznej kolejności pojawiają się tu bardziej i mniej znane osobistości Nałęczowa, wypowiadając zgrabnym wierszem swoje kwestie. Niektóre z nich to po prostu urocze, dowcipne fraszki, jak najlepiej świadczące o uzdolnieniach autora. Tekst stanowi jednak tylko połowę wartości szopki. Przybrała ona kształt albumu, w którym wypowiadanym słowom towarzyszą barwne rysunki i karykatury, co nadaje tej imprezie wartość dokumentu.

Nałęczowską szopkę Rogalskiego otwiera

AMELA, księdza siostrzenica
To dziewczę z buzią jak donica,
Znana jest wszystkim w Nałęczowie,
Powtarza wszystko, co kto powie.

Jako jedna z następnych pojawia się w towarzystwie bociana akuszerka Bobrzykowa:

Gdy BOCIAN puka w twoje progi,
Po BOBRZYKOWĄ leć mój drogi,
Ona po wszystkie wioski końce
Pomaga ludziom ujrzeć słońce.

Do bardzo czynnych działaczy oświatowych na terenie Nałęczowa należał Kazimierz Dulęba, brat proletariatczyka, członek Polskiego Związku Ludowego, związany ze „Światłem" i grupą radykalnej inteligencji, skupionej wokół Żeromskiego. Taki pojawia się i tutaj:

DULĘBA dobry patryjota,
Na piersi orzeł, czarna kapota,
Czerwonych zasad; z połowicą
trzymają zawsze za lewicą.

Połowica, to żona jego — Helena Dulębina, również zasłużona na terenie Nałęczowa.

Sporą część szopki wypełniają sprawy sercowe, a że wiedzą zasiedzi..., więc i tu niejedna z takich wiadomości się przedostała:

DZIEWICKI wzdycha do Leonci
I sprawa ta martwiem trąci.

DZIERZGOWSKI był magazynierem,
Żonę miał ładną, sam był zerem.

Nie zabrakło także Kazimierza i Mieczysława Glińskich — ojca i syna. Kazimierz Gliński, poeta i powieściopisarz (m. in. „Cecora", „W Babinie" i „Królewska pieśń"), mieszkał latami w Nałęczowie, w oficynie pałacu, co potwierdza tablica pamiątkowa. Gliński zmarł w Nałęczowie w 1920 r. i pochowano go na miejscowym cmentarzu. W „Demokratycznym abecadle" karykaturzysta przedstawił go lecącego na rozhukanym pegazie:

GLIŃSKI buja na pegazie
W poetycznej wciąż ekstazie,
Wskrzesza z grobów przeszłość złotą,
Więc czytamy go z ochotą.

Syn Kazimierza, Mieczysław Gliński, pisywał również wiersze, potem był w bliższej zażyłości z butelką — na rysunku właśnie ma ją w kieszeni:

DOKTOR GLIŃSKI złotył tutnie,
Poświęcił się pracy smutnie,
Gdzie cierpienie, tam przybywa,
Chociaż laurów już nie zrywa.

„Demokratyczne abecadło" raz po raz dotyka spraw i ludzi, związanych z kręgiem Żeromskiego, a więc przede wszystkim z Towarzystwem „Światło". Oto jedna z takich postaci:

Do kulturalnej rwie się pracy
uświadomiony stróż IGNACY,
Chytrawo dumnym okiem mruga
na sesjach Światła pan Jaruga.

Występują też Henryka i Jan Witkiewiczowie. Henryka, córka Oktawii Żeromskiej z pierwszego małżeństwa, pracowała jakiś czas w ochronce, zbudowanej w Nałęczowie przez Żeromskiego, zaś Jan Witkiewicz, architekt, również znajdował się w gronie osób, opiekujących się ochronką. Widocznie istniały tam jakieś rozbieżności, albowiem Rogalski napisał, że Witkiewiczowie „gardzą Ochroną", zaś Henryka odzywa się do Jana Witkiewicza:

— Chodź stąd, spowici w laury Żeromskiego, gdzie indziej założymy bojową instytucję! —

Odnajdujemy w szopce także nazwiska miejscowe, które Żeromski wprowadził na karty swoich utworów. A więc choćby:

POCHROŃ!!!

ale to nie ten z „Dziejów grzechu" Żeromskiego)

Przed bandytami dziś się ochroń,
To znaczy wyjedź aż na Marsa,
Bo w Nałęczowie, czysta farsa,
Jest autentyczny Franek Pochroń.

Nie pominięto w „abecadle" osobistości, związanych z miejscowym Zakładem Leczniczym; jest więc jeszcze jeden z trójki wskrzesicieli Nałęczowa i budowniczych Zakładu — doktor Wacław Lasocki. Miał on także pasję zbieracza, toteż bogaty zbiór książek i rycin ofiarował Muzeum Narodowemu w Krakowie, zaś część materiałów przekazał do założonego w 1904 r. Muzeum Ziemi Lubelskiej w Nałęczowie, którego był kustoszem. Właśnie Lasocki jako kustosz tego muzeum stał się przedmiotem drwin:

Kustosz prezes LASOCKI przed okazami fauny i flory Ziemi Lubelskiej w muzeum w Nałęczowie:

Jeden z trzech założycieli
O Zakładzie zapomina,
Chociaż nie miał wierzycieli,
Sprzedał akcje starowina,

I w muzeum się zasklepił,
Sam jak okaz muzealny.
Ściany bzdurstwami oblepił,
Byle wkłok był tryumfalny.

Witkiewiczowie „gardzą Ochroną"; — Chodź stąd, spowici w laury Żeromskiego, gdzie indziej założymy bojową instytucję! —

Tak gromadzi wszystkie dary;
Byle całość jakoś rosła;
Są więc: Pola okulary,
Jest też i kopyto osła.

I do rwania zębów kleszcze
ex-dentysty Walickiego,
A prócz tego jest tam jeszcze
Portret pana Lasockiego.

Do pierwszych ludzi związanych z odrodzonym Nałęczowem należał znany lekarz warszawski Marian Jakowski, przez lat wiele piastujący funkcję prezesa rady zarządzającej Zakładu Leczniczego. Obok wymownego rysunku znajduje się charakterystyka doktora:

W gorącej wodzie kąpany
I w „socjecie naukowej"
Z Curie-Skłodowską zasiada,
Nie skąpiąc im rady zdrowej,
Choć przeważnie chorych bada.

Pojawiają się także przedstawiciele istniejącego od 1909 r. Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa — Łusakowski i Łypacewicz, w życiu raczej nieprzyjaciele:

„Przyjaciele Nałęczowa"
Jeden pożarłby drugiego,
Lecz urazy swoje chowa
I udaje serdecznego.

Przewijają się w szopce przedstawiciele znanych miejscowych rodów, często bardzo zasłużonych — Michał Górski (junior), Malewscy, Hornowska, Sulkowska, doktorowa Walicka, Nagórscy. Znalazł swoje miejsce poeta Zygmunt Różycki, który długi czas mieszkał w willi „Kruszynka"; podpis pod karykaturą głosi: *tak wygląda poeta, którego Muza opuściła.* Rzeczywiście, mimo wielu wydanych tomów wierszy, nie zapisał się trwalej w poezji tamtego czasu. Niemniej w pewnym okresie właśnie Różycki uosabiał w Lublinie poezję, o czym świadczą poświęcone mu strony w „Stalowej tęczy" W. Gralewskiego. Obok Różyckiego gości w „abecadle" także filozof i religioznawca Ignacy Radliński. Rękopisy jego książek napisanych w Nałęczowie, znajdują się w Bibliotece im. H. Łopacińskiego w Lublinie.

Życie Mateusza Jaszaka

Dokończenie ze str. 1

mu ojca, gospodarować na roli. Bo to był moment, kiedy zaczęło się we mnie budzić to, co — jak się później dowiedziałem — nazywa się świadomością społeczną, polityczną. Dlaczego właśnie ten moment? Proste. Wróciłem, żeby gospodarować, a gospodarować nie ma na czym. Czworo dorosłych dzieci, ojciec, matka, dzieci chcą już założyć własne rodziny, a na to wszystko kawałeczek gruntu? To mają być te wartości, o które kazano mi walczyć w tysiąc dziewięćset dwudziestym? To ja, znaczy się, walczyłem o dniówkę w wysokości złoty pięćdziesiąt, u bogatego chłopa albo u dziedzica, co ja mówię, o możliwość dostania takiej dniówki, bo przecież nawet nie zawsze za taki psi grosz byłem do roboty potrzebny. Czyli — walcz chłopie, a potem wracaj do domu i wbij zęby w ścianę? Już to wystarczało mi za „Kapitał" i „Manifest komunistyczny" razem wzięte.

W dwudziestym piątym roku swojego życia wstąpiłem do Stronnictwa Chłopskiego. To była organizacja o bogatych tradycjach na naszym terenie, a ja byłem chłopem i o tym, że istnieje jakaś Komunistyczna Partia Polski jeszcze niewiele wiedziałem. No i jeszcze wierzyłem, że walkę o słuszne prawa można w Polsce prowadzić legalnie. Ze Stronnictwa Chłopskiego w 1927 r. wyłoniła się Niezależna Partia Chłopska i w jej szeregach walczyłem o reformę rolną bez wykupu. Dzisiaj, kiedy patrzę na to z perspektywy lat, wcale się nie dziwię, że dla ówczesnych rządów to był jawny „bolszewizm" i że szybko postarano się o zdelegalizowanie NPCh. Jeszcze chciałem walczyć legalnie, jeszcze wstąpiłem do Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej, jeszcze wydawało mi się, że mogę pod bokiem różnych Florkowskich otwarcie krytykować, mówić prawdę w oczy. No i przeliczyłem się. Pamiętam, sporo młodzieży z naszej wsi zaangażowało się wówczas w amatorski ruch teatralny. Wybraliśmy sztukę, tytuł brzmiał: „Gospodyni dworska" i to się nawet miejscowym władzom podobało. Do momentu, kiedy zorientowano się, z tytuł ma znaczenie ironiczne, a w sztuce chodzi o ukazanie przeładowania służby folwarcznej. Więc się skończyło tylko na kilku próbach. A wkrótce potem rozwiązano ZLCh. Miałem już wtedy dwadzieścia dziewięć lat i może dlatego tym pełniej sobie uświadomiłem, że dorosłem do pracy konspiracyjnej. W 1929 r. wstąpiłem do miejscowej komórki Komunistycznej Partii Polski, a wkrótce zostałem sekretarzem tej komórki.

Tak właśnie to wszystko się zaczęło. A jak wyglądało w praktyce? Przede wszystkim uczyliśmy się. Potem uświadamialiśmy innych. Nigdy chyba nie czytałem tak wiele, jak w owym okresie. Trzeba było uzupełniać wykształcenie podstawowe, a zarazem poznawać to, czego nie wiedzieli ludzie ze średnim lub nawet z wyższym wykształceniem. Więc po pracy w polu siadaliśmy z żoną przy naftowej lampie i rozkładaliśmy na stole podręcznik i „bibułę". Zapomniałem powiedzieć, że w 1926 r. ożeniłem się. Tak mi się szczęśliwie trafiło, że oboje mieliśmy te same poglądy na to, jak powinien wyglądać świat. Zresztą nie tylko na zgodności poglądów opierało się nasze małżeństwo. W konspirację zaangażowaliśmy się oboje w równym stopniu. Podczas gdy ja sekretarzowałem w mojej komórce KPP, żona przewodniczyło kołu Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej we wsi.

„Bibuła" przychodziła zwykle z Krasnegostawu. Przynosili ją nieznajomi łącznicy, legitymujący się tylko ustalonym zawczasu hasłem. Niekiedy pojawiali się nocą w naszym domu ludzie, którzy nie przynosili żadnej przesyłki. Przychodzili niewielkimi grupkami, po dwóch, po trzech, dawaliśmy im pożywienie i nocleg. Oni też podawali hasło. Rano szli dalej. Wiedzieliśmy tylko tyle, że realizują jakieś polecenia partii. Niewiele było rozmów podczas tych przypadkowych spotkań. Wymagały tego zasady konspiracji. Ale nawet mimo to czuliśmy się wtedy jakby bliżsi celu, któremu się poświęciliśmy. W namacalny sposób partia dawała nam znać o swoim istnieniu, o swojej działalności w odległych od naszej wioski miejscowościach kraju.

Na pochody pierwszomajowe udawaliśmy się zwykle do Krasnegostawu, Piask lub do Lublina. W naszej wsi zorganizowanie pochodu byłoby niemożliwe. Od razu by nas zaaresztowano. Byliśmy przecież „nielegalnymi wywrotowcami". Za to tam, w Piaskach czy Krasnymstawie, choć ginęliśmy w tłumie jako jednostki, to jednak występowaliśmy jako zwarta siła, z którą niełatwo się było policji uporać. Wtedy bez lęku rozwijaliśmy w pochodzie czerwone sztandary, które przynieśliśmy pod kurtkami.

Na wsi za to wyżywaliśmy się w dniu 1 Maja w zupełnie odmienny sposób, co zresztą doprowadzało do wściekłości miejscowego komendanta policji. Tego dnia na drzwiach posterunku pojawiała się przybita rękoma nieznanych sprawców odezwa KPP, lub na dachu powiewał czerwony sztandar. Cała wieś śmiała się z tych „kawałów", ale przecież nie tylko o żarty nam chodziło. Ludzie w ten sposób przekonywali się, że policja i miejscowe władze nie są tak mocne, jak by się zdawało. I choć władze starały się urobić przeciw nam opinię „wrogów Ojczyzny", choć ksiądz z ambony wytykał palcem Jaszaków, którzy nie ochrzcili dzieci, wieś z nami sympatyzowała. Nie zdarzył się wypadek donosicielstwa i nigdy, mimo licznych rewizji, policja nie znalazła u nas żadnych kompromitujących dokumentów.

Ale swoje i tak musiałem odsiedzieć. Pewnego razu do Fajsławic przybył młody chłopak, który zaczął się o mnie przepytywać. Był na tyle nieostrożny, że zainteresowała się nim policja. Znaleziono przy nim większą ilość komunistycznych ulotek i nielegalnej prasy. Podczas szczegółowej rewizji z kołnierza wypruto kartkę z moim adresem. To wystarczyło, aby postawić mnie przed sądem. Wtedy, w 1936 r. za „wywrotową działalność komunistyczną" (choć z wyjątkiem owego adresu nie posiadano żadnych innych dowodów) zostałem skazany na pięć lat więzienia. Ów zaś niedoświadczony kurier otrzymał wyrok dziesięcioletni.

Żona z dwojgiem dzieci została na gospodarstwie, a ja do 1939 r. siedziałem w więzieniu w Tarnowie. Gdy jesienią 1939 r. dotarłem do domu, na naszych terenach stała Armia Radziecka. Objąłem wówczas w Fajsławicach stanowisko komendanta milicji ludowej, przyjęliśmy nazwę — „Czerwone opaski". Trwało to jednak niedługo. Wkrótce Rosjanie wycofali się za Bug. Początkowo chciałem iść razem z nimi, w ostatniej chwili, ze względu na chorobę żony, zdecydowałem się zostać w kraju. To nie była łatwa decyzja. Zdawałem sobie sprawę, że Niemcy prędzej czy później zainteresują się takim czynnym komunistą, jak ja. Tak jak wielu innych po raz drugi zszedłem do podziemia.

Nazywałem się teraz Wacław Majewski, mieszkałem w Warszawie, gdzie miałem kontakty z dawnymi towarzyszami z KPP. Gdy w Warszawie zaczął mi się palić grunt pod nogami, wróciłem w rodzinne strony. To było pod koniec 1943 r., no a w połowie 1944 przyszło wyzwolenie.

Wie pan, jak wtedy było. Ci, którzy przez wiele lat narażali swoją wolność dla sprawy, teraz narażali dla tych samych celów więc-

Kamena str. 6

Jak przystało na Nałęczów, nie brakuje w szopce lekarzy. Prócz doktora Glińskiego spotkamy tu doktorów: Karwackiego, Szokalskiego, Tokarskiego, wreszcie Kosmowskiego:

Doktor lubi poflirtować,
Potańczyć i pofiglować,
Zimę spędza wynudzony,
W lecie znowu odmłodzony.

Można tu spotkać i inne stany: młynarza („tym się pociesza, że piasek do mąki miesza"), stróża, listonosza, ogrodników. Są piotkarze, dziwacy. Jest oczywiście ksiądz, co to „grosze lubi i z bractwem się o nie czubi".

Ale cóż to byłaby za szopka, gdyby brakło w niej Żyda? W Nałęczowie wiele willi i pensjonatów należało do Żydów, mieli własne hotele z kuchnią rytualną. Toteż i w szopce Rogalski użyczył im miejsca. Pokazano więc „dobrze prosperujący interes publiczny pod firmą „Osłoda", należący do Tenenbauma („Osłoda" stoi do dziś przy Armatniej Górze), a także Hertzmanów, właścicieli sklepu, który przeszedł już dawno do wspomnień. Pisała o nim J. Waydel-Dmochowska w książce „Dawna Warszawa", w rozdziale „Nałęczów".

Widocznie Hertzmanowie mieli swoich przeciwników, może byli nimi miejscowi przedstawiciele Narodowej Demokracji? W każdym razie właściciele sklepu skarżą się na bojkot:

Ny, po co tego bojkotu?
My mamy mało obrotu.
Trzydzieszczy lat pracuje
I wszystko sze marnuje.
Ja taki Polak jak i Żyd,
Więc bojkotować mnie to wstyd.

Jako się na początku rzekło, szopka pisana była w 1913 r., na rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej, która zapoczątkowała przemiany, jakie w wyniku i narodowi polskiemu przyniosły tyle oczekiwaną wolność. Ale w szopce są jeszcze przedstawiciele władzy zaborczej, to

USZARUKI
„Na to aby brać są ruki!"
Tak dowodzą USZARUKI.

„Demokratyczne abecadło" stanowi więc bardzo ciekawy przyczynek, w właściwie krzywy obraz Nałęczowa z czasów wygasającej jego świetności. Jakże inaczej wyglądałaby ta szopka pisana ze sześć lat wcześniej! Wówczas jeszcze corocznie gościł tu autor „Faraona", bywał Or-Ot, Daniłowski, trwała gorączkowa działalność dwu antagonistycznych społeczności — Macierzy Szkolnej i „Światła". W centrum tego ruchu znajdowała się postać Żeromskiego. W 1913 r. było to już przeszłością, a w szopce Rogalskiego postać autora „Ludzi bezdomnych" rzuca już tylko odległy cień. W przenośni i dosłownie. Ostatnie strony „Demokratycznego abecadła" naszkicowane zostały jedynie ołówkiem; zaszło coś, co nie pozwoliło szkiców wypełnić kolorem, dopowiedzieć wierszem. Pod literą ż rozpoznajemy szkic postaci, która ma wyraźne rysy Żeromskiego.

Na koniec jeszcze wypada wyrazić żal, że pozycja ta nie doczekała się wówczas postaci drukowanej.

Szczęśliwie ocalałe „Demokratyczne abecadło" przekazał w depozyt do Muzeum B. Prusa w Nałęczowie syn autora, prof. dr Tadeusz Dzierżykray-Rogalski.

ZDARZENIE, które będzie przedmiotem tego opowiadania, jest autentyczne, niezmyślone, ani upiększone w żadnym szczególe. Prawdziwe choć niezwykłe dla swych czasów, bo zakończone happy endem.

Działo się to wszystko w Lublinie pierwszego dnia roku 1942 w obszernym lokalu biurowym mego dobrego znajomego Pawła L.

Paweł L., postać ciekawa i malownicza, przybył do naszego miasta wysiedlony przez Niemców ze Śląska; tu chwilowo osiadł i otworzył biuro handlu węglem. Wysoki, śniady brunet, w sile wieku, pięknie siwiejący na skroniach, o płonących czarnych oczach — okaz siły witalnej i nieokiełznanego temperamentu. Nic przeto dziwnego, iż w krótkim czasie zręcznie i szczęśliwie lawirując wśród niebezpieczeństw i zasadzek okupacyjnej rzeczywistości, doprowadził swe przedsiębiorstwo do takiego stanu, że zaczęto mu przynosić znaczne dochody. Ten człowiek miał dziwne szczęście, bo choć pieniędzy nie szanował, one same garnęły się do niego. W pierwszych miesiącach wojny hitlerowcy zabrali mu wszystko — rok jeszcze nie upłynął, jak poczynając z niczego znów tworzył koło siebie dostatek. A że serce miał szerokie, lecz lekką rękę i w żyłach, mimo poważnej przymieszki serbsko-macedońskiej, krew polską, hojnie wspierał i organizacje podziemne i poszczególnych ludzi potrzebujących pomocy.

I ja też niejednokrotnie korzystałem z jego gościny i uczynności, bądź to gdy mi zima zbytnio dokuczyła, a nie było pokarmu dla pieca, lub też gdy natłok koszmarnych zdarzeń i niepomyślnych wieści był zbyt wielki, nadto przytłaczający i szarpiący nerwy, które się domagały silnej odtrutki. Miał on stale dla swych licznych przyjaciół i podopiecznych furkę węgla i najświeższe wiadomości, prawdziwe czy nieprawdziwe, ale zawsze dobre — oraz alkohol w dostatecznych ilościach.

I tak przetrwaliśmy szczęśliwie trzy lata wojny. Jemu towarzyszyło niezmienne powodzenie — ja, ocierając się jak każdy Polak w tych czasach stale o śmierć, dzięki szczęśliwym przypadkom i pomyślnym zbiegom okoliczności żyłem i wierzyłem, że przeżyję. Zbliżał się rok 1942. Oczywiście, jak to wtedy było we zwyczaju, oczekiwaliśmy na pewno zwycięskiego końca wojny już w następnym roku. Tym razem nadzieje nasze nie były pozbawione realnych podstaw — bitwa pod Stalingradem zbliżała się do końca.

Wtedy to Paweł L. zaproponował spędzenie nocy sylwestrowej w większym, lecz dobranym towarzystwie. Na miejsce tej uczty ofiarowywał obszerny lokal swego biura, mieszczący się na pierwszym piętrze w centrum miasta przy jednej z bocznych ulic.

— Zabawimy się choć przez tę jedną noc, zapomnimy o śmierci i zagładzie, która nas zewsząd otacza, wypijemy na rzecz jutra, które będzie nasze — tak namawiał i kusił.

W końcu uległem i przyszedłem z żoną na tę uroczystość. Stoły były gęsto zastawione, towarzystwo dość liczne, ale swoje. Piliśmy chętnie i dużo. Zapanował nastrój naprawdę przyjemny i wesoły. Jednak, jak to już słusznie zauważył w swoim czasie pan Zagłoba — „apud Polonos nunquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt". Ktoś zintonował kolędę, inni podchwycili chórem, a już całkiem nieopatrznie jeden z młodych gości nastawił jakąś płytę na przyniesionym uprzednio patefonie.

Zapomnieliśmy, że to jednak była „uczta w czasie dżumy", a czym przekonaliśmy się niebawem.

Sylwester z gestapowcem

Konrad Bielski

Biła godzina trzecia w nocy, gdy niespodziewanie otworzyły się szeroko nie domknięte uprzednio drzwi i na salę wkroczył upiór — umundurowany gestapowiec ze wszystkimi dystynkcjami. Wszyscy zamarli w milczeniu. Nie wiadomo przecież było, czy to jest oficjalna wizyta i czy za pierwszym wejdą niebawem inni w ściśle określonych zamiarach — czy to tylko przygodny gość, którego z ulicy przywabiły oświetlone okna i gwar zabawy.

Tymczasem przybyły drab, o antypatycznej gębie, obrzucił wzrokiem całe towarzystwo i niewiadomo dlaczego wybrał sobie moją osobę, podszedł, przysiadł się i zaproponował wspólne wypicie kieliszka wódki. Mówił łamanym językiem polskim; słowa przychodziły mu z widocznym trudem.

Obecni odetchnęli z ulgą.

Oprócz mnie. Świadomość z kim mam do czynienia, bezmiar nienawiści, który się nagromadził przez te ostatnie lata, pogarda dla tej nędznej kreatury, te wszystkie wężowe spotęgowane wypitym w nadmiarze alkoholem, kazały mi zapomnieć o tym, na co narażam siebie oraz wszystkich obecnych i wbrew instynktowi samozachowawczemu podyktowały te słowa, wypowiedziane po polsku głośno i dobitnie:

— Ja z tobą pić nie będę. Ty masz tyle swoich niemieckich lokali. Po coś tu przyszedł, sam pruć zabawę? Do ludzi, którzy ciebie wcale nie potrzebują.

Wtedy gestapowiec po chwili zastanowienia:

— To znaczy, że nie chcesz pić ze mną wódki, bo ja jestem Niemcem — a właśnie, że ja nie jestem „niemcem, ja jestem Czechem, bratem Słowianinem, ze mną możesz wypić.

A ja mu na to jeszcze ciągle w transie alkoholowym:

— Jakiś ty brat Słowianin, skoro nosisz taki mundur — w tym mundurze ja z tobą pić nie będę.

Teraz już naprawdę wśród obecnych powiało grozą, a mój Niemiec spokojnie wstał, odpiął pas, zdjął kurtkę mundurową, położył na pobliskim krześle i uśmiechnięty podszedł do mnie napełniając kieliszek.

I wtedy nastąpiło ogólne odprężenie. Oto ten niebezpieczny przed chwilą gestapowiec, teraz w jegerowskiej koszulce, kolorowych szelkach, podtrzymujących opadające spodnie, nieoczekiwanie chudy, o szyi oskubanego gąsiora z wystającą grdyką — był niesłychanie śmieszny i po prostu trudno było sobie wyobrazić, że ten sam człowiek mógł budzić przed chwilą postrach. Toteż rozległy się tu i ówdzie na razie hamowane i ścieszone śmiechy. A gdy ktoś z obecnych nie wytrzymał i na cały głos krzyknął: król jest nagi — paroksyzm śmiechu ogarnął wszystkich. W końcu zrodziła się obawa, żeby gestapowiec nie połapał się, że jest „przedmiotem tej wesołości, lecz on widocznie też dobrze pijany, śmiał się najgłośniej.

Ale nie wszelako przeciągać struny. Na znak gospodarza powstało ogólne zamieszanie, w trakcie którego poszczególni goście zaczęli się wynosić. I ja z żoną, prawie wypchnięty, znalazłem się na ulicy. Ze względu na szczególną datę nie sprawdzano nocnych przepustek, nikt nas nie zaczepił i szczęśliwie dotarliśmy do domu.

Nazajutrz, gdy sobie tę noc sylwestrową na trzeźwo przypomniałem — struchlałem. Ale już było po wszystkim.

Ani gospodarz, ani nikt z uczestników biesiady nie mieli do mnie pretensji, żem ich nieopatrznie naraził na tak wielkie niebezpieczeństwo. Darowali mi, bo za cenę strachu brali udział w takim widowisku, jakiego chyba nikt nie oglądał bezkarnie w czasie okupacji.

Niektórzy przesądni, jako że był to pierwszy dzień roku, na tej podstawie tworzyli pomyślne horoskopy na przyszłość. I może się nie omylili.

◆

Rafał Orlewski

Opowiadam ciebie

Opowiadam twarz twoją

noc rozszerza oczy
nigdy nie widziałem
nocy tak zdumionej
księżyc przepadł w burzy —
nurek skamieniały
a z kartonu nieba
twarz twą wycinają
nożyce błyskawic

Opowiadam pieśń twoją

na drutach promieni
krzyk jaskółki zawisł
lew chyli łeb ciężki
od nadmiaru złota
znowu nuty piszę —
ptaków nieuchwytność

Nie opowiem dłoni —
dotyk cię opowie

Łódź

◆

Kompleks biskupa Defreggera

Melchior Wańkowicz

JADĄC z Monachium przez Innsbruk do Karyntii, chciałem zwiedzić „Orle Gniazdo" Hitlera w Berchtesgaden. Kiedy wyjechałem z Berchtesgaden na stromą górę, mój wóz dopiero zakupiony w Niemczech, mający na liczniku 500 km — zaciął się. Chyba jestem ponad przesądy, ale zawsze tam gdzieś w duszy drzemie ciemne tło litewskie. Przypomniałem, jak mi odmówił służby nowiutki motorek niemiecki „Sachs", kiedym zwiedzał Prusy Wschodnie i jak mi odesłała go do Polski fabryka z listem tłumaczącym, że motorkowi nic nie brakuje (i istotnie, w Polsce mi dobrze działał). I jak mi na wodach niemieckich, zatopiła kajak maskotka niemiecka, niebacznie uwiązana do masztu.

Przybyłe Pogotowie Samochodowe orzekło, że sprzęgło jest spalone i zabrało się do naprawy.

Musiałem więc wraz z żoną udać się do ajencji turystycznej. Właśnie odchodził autobus, broń Boże nie do siedziby Hitlera. Prospekty ajencji, napis na autobusie, mówiły, że jedzie po prostu do „teehaus" — herbaciarni położonej malowniczo w górach.

Ta hipokryzja pokrywa nastrój omal modlitewny autobusu. Ciekawa pielgrzymka, w której nie można się wyśpiewać, wymodlić, wywzruszać. Już widać zwaliska potężnych bunkrów. To tu stało istne miasto-forteca, mieszcząca rozległe biura i koszary doborowego oddziału pięciuset SS. Już tu zaczyna się cichy zachwyt nad „colossal", choć przecie to „colossal" zostało zburzone na rozkaz rządu bawarskiego.

— Idioci — wskazuje na ruiny konduktor autobusu, arogując sobie funkcje cycerona — po co to było burzyć?

Na zwaliskach ponatykano znaczków a tabliczek, a ornamencików, wzywających do ochrony przyrody: „Strzeżcie kwiatki, one są tworem Boga".

Cały ten obszar to „Naturschutzgebiet". Ponastawiano „gemütlich" kapliczek i żarliwie się prosi, aby nie zabijać ani motylka, ani muszki.

Winda w kutym kominie skalnym strzela w górę. Tu było „Orle Gniazdo" Hitlera, obecnie hurtowe miejsca sprzedaży kiełbasek i pocztówek.

Ale duch tego miejsca, wygnany, czeka tuż za progiem. Strome urwiska. Przepaści. Krzyż oblodzony na wichrze, tak, że lodowe sople, zamarzające na tym wichrze, stworzyły jakby dramatyczną harfę strun lodowych, strun zamarzłych.

Małe czarne ptaki wielkości kawki krążą nad krzyżem. Ale chyba to nie kawki, bo nie mają siwego kołnierza. Niemiec spytany o gatunek ptaków objaśnia, że to są „Kleine Raaben" — małe kruki. Zmalały kruki Walkalii, ale kracza nad zamrożonymi strunami.

Zjeżdżamy w dół w towarzystwie milczących Niemców. Żona moja z innej planety — z takich sobie mazowieckich piaseczków, szepcze do mnie, kiedy spadamy w dół windą w oślizłych ścianach tunelu:

— Jak tu czekać litości od takich ludzi? Siedliby gdzieś na łące — wolą być miedzy czarnymi ptaszyskami i mchawymi kikutami.

Teraz obchodzimy powysadzane bunkry. Rządził tu Borman, prawa ręka Hitlera, mityczny Borman, którego śmierć dotąd nie jest stwierdzona. Wywłaszczał dookoła ziemie, budował pałacyki sobie i Goeringowi. On też zbudował dla Hitlera wiszący nad skalnym tunelem „Adlerhorst" — Orle Gniazdo.

Borman tu panował, urządzał potajemne archiwa i schrony, rządził esesmanami, siecią wywiadu w krąg, rozpanaszał się w otaczające doliny, siedział na tym szczycie jak czarny, zły duch.

Wtedy właśnie ogłoszono korespondencie tego mistyka nazizmu.

— Spotkałem się z aktorką X — pisze do żony — wiesz, że żadna kobieta oprzeć mi się nie może. Miałem z nią stosunek.

— Luby, jak słusznie postępujesz — odpisuje żona. — Ty jesteś własnością całego narodu. Napisze list do niej, aby nie spędzała płodu, powinszuje zaszczytu, jaki na nią spłynął.

Borman ma syna piętnastoletniego, sposobi go na rządy w Afryce, bo przecie świat będzie należał do nazizmu.

— Pan ma lornetkę Zeissa? — pyta konduktor autobusu w drodze powrotnej.

— Znalazłem ją w waszym bunkrze pod Monte Cassino.

Konduktor bierze mnie za Amerykanina.

— Jestem żołnierzem Kesselringa — mówi konduktor. — Mieliśmy przed sobą „Polacken". Kiedym wszedł do jednego schronu, któryśmy odbili z powrotem, znaleźliśmy dziesięć trupów naszych żołnierzy; każdemu w usta wepchnięto ucięte genitalia.

— Byłem z polskim natarciem. Pan się myli. Takich grot nie było.

— Aber doch...

— Byłem korespondentem wojennym — mówię z naciskiem — pan się myli.

Niemiec się tuszuje.

— Czemuś go ostrzej nie potraktował? — pyta żona, kiedy idziemy od autobusu.

— Przecież on to „widział" — mówię ze znużeniem — on w to wierzy. Sklepi legendę. Legendy — to dopiero trwałe prawdy. Za wielem ich widział, by się donkiszocić. Jestem znużony.

W garażu witają nas ze zdumieniem:

— Sprzęgło, kiedyśmy rozebrali wóz, okazało się w porządku. Nie wiem, co to było, ale może pan jechać, tak, jak pan chciał, przez przełęcz Grossglockner.

* * *

Ruszyliśmy na Innsbruk. Przejeżdżałem tę drogę kilkakrotnie w jakże innych okolicznościach. Oto bramy Murnau. Wówczas roił się tu tłum „pawianów" — był to obóz jeniecki dla oficerów. Oto Garmisch Partenkirchen. Wówczas oficerowie alianccy na wypoczynku zaprawiali girlaski wybrane jak orzechy do rzemiosła wojskowego, nartując z nimi po okolicy. Niemcy — gdzieś tam przytchnęli po domkach farm, wysyłając tylko forpoczty kobiece na osiedlanie zwycięzców.

Teraz — są wszędzie. Rządzą. Gospodarzą. Lśnią od nowa.

Przespaliśmy w bardzo miłym hotelu w górach, nad miastem, bardzo ekskluzywny hotel. Wtedy kosztował grosze — dla zwycięzcy. Teraz — był to nasz najdroższy nocleg.

I otóż wtedy, na drugi dzień rano, dzięki informacji portiera znienacka znaleźliśmy się na niezapomnianej uroczystości, którą bym nazwał „odkupieniem kompleksu przez kompleks".

Wąskimi uliczkami w arkadach pojechaliśmy do St. Jacobs Pfarrkirche. Był to dzień 26 lipca 1958 r.

W ciemnej wnęce przy ołtarzu wznosi ręce młody duchowny z ciemną brodą. Kiedy odwraca się ku wiernym, widzę jego smutne ciemne oczy.

— Martin Luter, najstarszy syn Bormana, odprawia swoją prymicję.

Przed dwunastu laty, kiedy przez Brenner wyjeżdżałem do rozbitego Innsbruka, ogłaszano jakieś ogromne nagrody w dolarach za wiadomość o losach prawej ręki Hitlera. Długo jeszcze potem kołatały się legendy o ocaleniu Bormana, o jego pojawieniu się w Południowej Ameryce. Rodzina jego była otoczona morzem nienawiści zrozpaczonych Niemców. Wówczas to piętnastoletni Martin przemykał się chyłkiem przez Bawarię, aż tu, w Innsbruku, znalazł schron u jezuitów. „Wyrwę cię, zaiste, z rąk ludzi złych i odkupię cię z rąk okrutników" (Jer. XV, 21) powiedział słowami Jeremiasza przełożony zakonu.

„Zaiste trzymali się przodkowie nasi na fałszu i marności" — mógł odpowiedzieć słowami tego proroka chłopak przodujący w Hitlerjugend.

Teraz cisną się do niego po prymicyjne błogosławieństwo. Kładzie ręce na głowach swoich sióstr.

Potem — pojedzie do Kongo, w głąb Czarnego Lądu, na pracę misjonarską, albowiem „nie chciał uwiednąć dla nieprawości ojców swoich" — jak mówi Biblia.

Tak więc na wszystkich szerokościach świata, nie tylko w Polsce ratują się ludzie od kompleksów — wybijając kompleks kompleksem...

---

cej, bo — życie. Teraz nasi przeciwnicy zeszli do konspiracji, a swoją walkę prowadzili nie przy pomocy ulotek i nielegalnej prasy, ale z bronią w ręku. Takim ludziom jak ja w każdej chwili groziła śmierć z rąk członków NSZ — czy WiN. A ja byłem nie tylko „zwykłym" komunistą, ja sprawowałem funkcję pełnomocnika do spraw reformy rolnej w naszej gminie, a jednocześnie byłem pierwszym tutejszym przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej.

Teraz dopiero, pierwszy raz w czasie mojej komunistycznej działalności, musiałem chodzić z nabitą bronią w kieszeni. Mieszkałem nie w swoich zabudowaniach, ale przeniosłem się z żoną i dziećmi do dawnego pałacu Florkowskich, gdzie zresztą skupiły się także rodziny milicjantów i innych przedstawicieli nowej władzy. Pałac przypominał obóz warowny. Okna zostały zabezpieczone workami z piaskiem, na noc wystawialiśmy uzbrojone warty.

Gdy miałem lat czterdzieści sześć zostałem „mieszczuchem". Z żalem żegnałem się z wsią, w której spędziłem prawie pół wieku. Powołano mnie na stanowisko prezesa PZGS w Krasnymstawie.

Następnych dziewięć lat minęło nie wiadomo kiedy. Może dlatego, że choć sprawowałem różne funkcje i w Krasnymstawie, i w Lublinie, to ciągle tęskniłem za wsią, za własnym gospodarstwem, a swoją pracę traktowałem jako zajęcie przejściowe. Czułem się chłopem i miałem dokąd wracać. Z reformy rolnej otrzymałem w Fajsławicach dwa hektary ziemi. To była ta ziemia, o której myślałem od dwudziestego roku życia, na której spodziewałem się stosować nowoczesne formy gospodarowania, do której objęcia przez całe życie się sposobiłem. Tymczasem zaś byłem urzędnikiem. Od 1950 r. pracowałem w Lublinie w Wojskowym Przedsiębiorstwie Budowalnym, żona kierowała działem kobiecym w KW PZPR.

Na rolę wróciłem w 1954 roku. Dopiero wtedy zacząłem stawiać swój pierwszy dom. Budowałem dom obszerny i wygodny, żeby dał pomieszczenie całej rodzinie, mnie z żoną i dwojgu dzieciom z rodzinami, zakładałem sad, żeby wnuki miały się gdzie bawić.

Przez następnych piętnaście lat siałem i zbierałem plony już na własnym gospodarstwie, a nie jest to najłatwiejsze, gdy już człowiek grubo przekroczył połowę życia, a przy tym nie rezygnuje z tego, co było treścią tego życia przez wiele lat, to znaczy z działalności społecznej, politycznej. Wtedy, gdy wróciłem na wieś, zostałem tutaj wybrany na sekretarza Komitetu Gromadzkiego PZPR, sprawowałem funkcję prezesa zarządu gromadzkiego kółek rolniczych, prezesa ZBOWiD-u, dzisiaj jestem członkiem Komitetu Powiatowego PZPR w Krasnymstawie.

I tak wynika, że dobrnęliśmy do siedemdziesiątki, czyli do dzisiejszego niedzielnego popołudnia.

Wie pan, tak na zakończenie powiem, że żałuję, że nie ma tu razem z nami moich dzieci. Córka jest inżynierem, skończyła studia w Odessie, pracuje w mieście. Syn siedzi w Lublinie, w Polskim Radio. Czy oni poczują kiedyś chęć powrotu na wieś? Dom dla nich wybudowałem, dla nas dwojga za duży...

Mirosław Derecki

Twórca nie tylko „Katiuszy”

Jan Orłowski

NAZYWANO kiedyś pieśniarzem poetę, którego utwory trafiły do serc ludu i stały się jego duchowym chlebem powszednim. Dzisiaj rzadko już używamy tej staroświeckiej nazwy, ale w stosunku do Michała Isakowskiego trudno o lepsze określenie. Jest on bowiem poetą-pieśniarzem w sensie jak najbardziej dosłownym i tak też bywa najczęściej określany przez radziecką krytykę literacką („poet-piesiennik”).

Siedemdziesiąt lat liczy dziś Michał Isakowski, a od przeszło pięćdziesięciu tworzy swe wiersze i pieśni. Ich zasięg oddziaływania dawno przekroczył granice ojczyzny poety. Najbardziej wymownym przykładem jest chyba napisana w 1938 roku „Katiusza”, która przetrwała wojnę, oparła się wszystkim powojennym piosenkarskim modom, żyje do dziś w wielu wariacjach i zdumiewa swoją fenomenalną popularnością. Żywotność tej i innych pieśni jest źródłem popularności Isakowskiego i stanowi jeden z tytułów do jego sławy poetyckiej.

Można w tym miejscu powiedzieć, że pieśń żyje nie tylko dzięki muzyce. To prawda, że do słów Isakowskiego tworzyli muzykę tak utalentowani kompozytorzy jak Zacharow, Blanter, Dunajewski, ale prawdą jest też i to, że jeszcze przed wojną i w latach powojennych największą popularnością w ZSRR cieszyły się pieśni ze słowami autora „Katiuszy”. Wystarczy przypomnieć tytuły tylko niektórych pieśni: „W lesie przyfrontowym”, „Najpiękniejszy z wszystkich kwiatów...”, „Pożegnanie”, „Samotna harmonia”, „O zachodzie przed mym domem...”.

Wychowała poetę Smoleńszczyzna, gdzie przyszedł na świat w styczniu 1900 roku we wsi Głotowka. Pochodził z bardzo biednej wielodzietnej rodziny chłopskiej. Nędza rosyjskiej przedrewolucyjnej wsi określiła życiowy krąg doświadczeń przyszłego poety, którego na domiar złego los dotknął ciężką chorobą oczu, grożącą całkowitą utratą wzroku. Nędza rodziców i choroba oczu nie pozwoliła przyszłemu poecie ukończyć szkoły średniej. Od 1917 roku podjął się na krótko pracy nauczycielskiej, a w rok później rozpoczął długotrwałą pracę dziennikarską w redakcjach różnych gazet w Jelninie, Smoleńsku i Moskwie.

Poetycki talent Isakowskiego ujawnił się dość wcześnie. Pierwszy wiersz „Prośba żołnierza” wydrukował w moskiewskiej gazecie za radą swego nauczyciela, kiedy miał zaledwie 14 lat. Praca polityczna i redakcyjna w pierwszych latach po Rewolucji Październikowej wzbogaciła życiowe doświadczenie poety, pozwoliła bardziej zrozumieć i zgłębić problematykę życia wsi rosyjskiej.

W wydanych w 1921 roku dwóch zbiorach swoich wierszy, zatytułowanych „Po stopniach czasu” i „Wzloty” oraz w agitacyjnym cyklu wierszy „Czterysta milionów” dominuje tematyka wiejska, której poeta pozostał wierny i w następnych zbiorach swoich utworów. Wieś w poezji rosyjskiej miała utalentowanego i niezwykle popularnego piewcę w osobie Sergiusza Jesienina, którego poezja nie pozostała bez wpływu na Isakowskiego. Poezję Jesienina cechował programowy antyurbanizm, idealizacja starej patriarchalnej wsi, niezrozumienie i rezerwa wobec przemian, które następowały w życiu wsi rosyjskiej po roku 1917. U Isakowskiego obserwować można od samego początku konsekwentną afirmację porewolucyjnych przemian w życiu wsi i aktywne uczestnictwo piórem w procesie tych przemian. Poezja Jesienina i Isakowskiego różni się też zasadniczo swoim klimatem uczuciowo-nastrojowym. U Jesienina przeważa nastrój smutku, melancholii i wyobcowania ze środowiska wiejskiego, w poezji Isakowskiego — przeciwnie; przemiany społeczne wsi nie trwożą, lecz są akceptowane i opiewane w strofach, w których brzmi radość i optymizm.

Własne poetyckie oblicze Isakowskiego zaczęło krystalizować się po roku 1924. W „Krótkiej autobiografii” sam poeta charakteryzuje przełomowe dla siebie znaczenie tej daty.

Za początek swojej świadomej działalności literackiej uważam rok 1924, kiedy napisałem kilka wierszy, wprawdzie jeszcze niezbyt doskonałych, ale zawierających określone poetyckie zamierzenie, określoną ideę. To były właśnie wiersze, a nie zwykły zbiór rymowanych zwrotek, często banalnych i nieporadnych. Wtedy jakbym po raz pierwszy odczuł czym jest poezja i zrozumiałem jakiej linii powinienem się trzymać, do czego dążyć, jaką drogą iść. To, co napisałem wcześniej, pisane było na ślepo i nie zawierało niczego interesującego.

Wiersze napisane w latach 1924—1927 weszły do wydanego w roku 1927 zbioru pt. „Prowoda w słomie”, co można przetłumaczyć jako „Druty nad strzechami”. W tym zbiorze poeta odchodził od taniej politycznej deklaratywności i abstrakcyjności spojrzenia na sprawy ludzkie. Zbiór stanowił istotny krok naprzód w kształtowaniu się własnego poetyckiego oblicza młodego autora, mimo że można jeszcze w tym zbiorze doszukać się śladów wpływu Jesienina.

Pod względem artystyczno-literackim nie były to jeszcze najlepsze wiersze. Poeta rezygnował już jednak w nich ze zbędnej dekoracyjności, dążył do prostoty językowej i wersyfikacyjnej. Słowem posługiwał się bardzo oszczędnie, jak to widać w wierszu:

Ja całe lata w takiej głuszy
mieszkam,
gdzie nawet żwawej nie usłyszysz
pieśni.
Bagniska. Las. To znów szuwary
i strzechy ze starości szare.

(1925)

Narodzinom nowego na wsi poświęcone są w szczególności wiersze: „Cztery życzenia”, „Dopalaj się, moje łuczywo...”, „Poemat odejścia” i in. Ostatni wiersz w sposób niezwykle ekspresywny pokazuje jak na wsi stare ustępuje nowemu:

Nic mi ta chata posępna
nie pozostawi, nic nie da.
Na moją głowę
ta ciemna chata stanowczo za
niska...
Tutaj pod każdą się ścianą
chronią znużenie i bieda.

Poezja Isakowskiego wykrystalizowała się w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną. Można w niej wyróżnić dwa zasadnicze nurty. Nurt pierwszy to społeczno-polityczna liryka, nacechowana podniosłym nastrojem, rewolucyjnym patosem i głębokim patriotyzmem. Do tego nurtu poezji zaliczają się także wiersze z lat 1929—1936 jak: „Poranek”, „Po zielonych przestrzeniach...”, „Rozmowa z koniem”, „Oj, wy, zorze wiosenne...”, „Pieśń o rewolucji”, „Matka” i in. Nurt drugi to liryka miłosna, ale jakże swoista i niepowtarzalna. Liryzm poety zabarwiony jest zazwyczaj domieszką lekkiej, dobrotliwej ironii, to znów łagodnego ciepłego i serdecznego humoru. Ten charakterystyczny rys ujawnił się stosunkowo wcześnie, bo już w roku 1924 w wierszu „Rozmyślanie” (Rozdumije), który tak się kończy:

Serce dziewczyny prawdę swą
czuje
i kwitnie niby czerwony mak;
ją tylko ciebie, Misza, miłuję,
lecz nie wiem za co — po prostu,
tak!

Nie sposób także nie zwrócić uwagi na jeszcze jedną istotną cechę twórczości popularnego poety. Jest nią tchnąca z jego wierszy pogoda ducha, optymizm i radość życia. Przeważają radosne, pogodne, wiosenne barwy, czuje się w nich zapach kwitnącej jabłoni, która nieprzypadkowo tak często zjawia się w wierszach poety. Aż dziw bierze, że ten poeta potrafi, nie patrząc na swoje kalectwo, roztoczyć przed czytelnikiem tyle słonecznych, wiosennych i radosnych barw.

Do liryki wojennej należy napisany w 1945 roku wiersz „Kobiecie rosyjskiej”, w którym poeta składa hołd milionom kobiet swej ojczyzny za bezmiar ich wyrzeczeń, poświęceń, cierpień i niepokojów. Jest to bez wątpienia najpiękniejszy, najgłębszy i najbardziej wzruszający wiersz, jaki o kobiecie stworzyła radziecka poezja wojenna. Uczuciowy klimat tego wiersza, pełnego uwielbienia i podziwu dla rosyjskiej kobiety, dobrze oddają jego ostatnie słowa:

Żołnierz na wojnie przed bitwą,
wiedząc, że może w niej zginie —
jak przysięgę i jak modlitwę
szeptał dalekie Twe imię.

Powojenna twórczość Isakowskiego rozwijała się nadal, ale już po utartej drodze, na którą poeta wstąpił w latach trzydziestych. Pod względem formalno-estetycznym wiersze powojenne nie wnoszą już zasadniczo niczego nowego do dawniejszego dorobku poety. Tworzył on nadal wiersze o tematyce społeczno-politycznej, ale w odróżnieniu od innych poetów już zasadniczo nie wracał do tematyki wojennej. Obok liryki politycznej tworzył nadal Isakowski pieśni liryczne. Niektóre z tych powojennych pieśni osiągnęły również dużą popularność. Należą do nich w szczególności „Samotna harmonia”, „Lecą ptaki przelotne”, „Oj kwitnie kalina...”, „Jaki byłeś, taki i zostałeś...” i in.

Tadeusz Śliwiak

Dom nad morzem

Za oknem wiatr
— niespokojnie poruszyły się pióra zaszyte w poduszkę
prześcieradło uniosło się lekko jakby w przeczuciu bliskości masztu
drgnął młynek do kawy — śniły mu się skrzydła
w wietrze kąpie się albatros
dziewczyna na fotografii przytrzymuje włosy
chwieje się płomień świecy
ze ścian jak z bitewnych pól schodzi cieni husaria
Wiatr za oknem

Sen o żelaznym moście

Ty z białym kotkiem co śpi na twych rękach
ja — z jarzębiny gałęzią czerwoną
idziemy żelaznym kolejowym mostem
jak po krawędzi dzwonu

Pędzą pociągi — ich kół tępy stukot
przęsła i niebo nad nami kołysze
światła na rzece marszczą się i gasną
Mówisz coś do mnie — nie słyszę — nie słyszę

Po drugiej stronie jest ogród zielony
i studnia z wiadrem co nieba dotyka
Po drugiej stronie kołyszą się pszczoły
na długich słońca łodygach

* * *

Znosiłem tobie pełne garście słońca
głosem wilgi wołałem o deszcze dla ciebie
wiatrom i chłodom broniłem dostępu
ty byłaś kwiatem więc byłaś nadzieją
na słodki owoc
I spełnił się czas
i potoczyło się jabłko na drogę
którą przechodzi co dzień tylu ludzi

Wrzosy

Na szorstkich kwitnących wrzosach
na trawie wysokiej
leżymy twarzami do raju
płyną obłoki

Popatrz na ten krzew głogu
od dołu
pod słońce
— zobacz
chodzi po niebie
pająk
pajączek

Jakiś owad nad nami
zakreśla koła
Zamknij oczy
i zgadnij
— osa
czy pszczoła

Na twoich włosach pył złoty
i listek suchy
Z dłoni złożonych na czole
cienia mi swego uchyl

Kamena str. 8

Peregrynacje zagraniczne młodego magnata

Adam Andrzej Witusik

DZIEJE staropolskich podróży zagranicznych, nazywanych wówczas peregrynacjami, poznajemy głównie za pośrednictwem diariuszy, pamiętników, instrukcji rodzicielskich, metryk poszczególnych uniwersytetów, listów. Fascynująca książka Władysława Czaplińskiego i Józefa Długosza: „Podróż młodego magnata do szkół”, odtwarzająca dzieje peregrynacji Stanisława Lubomirskiego na studia do Niemiec niemal wyłącznie na podstawie rachunków, należy więc pod tym względem do wyjątków, tym cenniejszych, że ukazujących również i materialną stronę owych wojaży, tak trudno uchwytną na podstawie innego typu źródeł.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza z nich to studium pióra Władysława Czaplińskiego i Józefa Długosza na temat zetknięcia się młodego magnata, kasztelanica małogoskiego Stanisława Lubomirskiego z zagranicą, druga — to aneks źródłowy, będący przedmiotem analizy pierwszej części książki, zawierający memoriał rachunkowy z podróży „Stachnika”, jak nazywany jest w memoriale Lubomirski, na studia do bawarskiego Monachium. Obydwie części nawzajem uzupełniając się tworzą zamkniętą całość.

Głęboka i rozległa erudycja znakomitego znawcy historii XVI—XVII wieku, Władysława Czaplińskiego, któremu dzielnie towarzyszył młody badacz i współautor Józef Długosz, sprawiły, iż suche na pozór zestawienia liczbowe zajaśniały całą gamą barw.

Peregrynacje zagraniczne odbywali wówczas prawie wszyscy młodzi magnaci. Z rówieśników Stanisława Lubomirskiego wystarczy wymienić tu chociażby Jakuba Sobieskiego, Krzysztofa Zbaraskiego, Tomasza Zamoyskiego, Jana Żółkiewskiego czy Albrychta Stanisława Radziwiłła. Z racji kosztów rzadziej odbywała te podróże średnia i drobna szlachta, ta ostatnia uczestniczyła w nich tylko w formie pomocniczej, jako osoby towarzyszące orszakowi młodzieży magnackiej. Fala peregrynacji objęła przede wszystkim Włochy, Francję, Belgię, Holandię, Niemcy, Szwajcarię, rzadziej Anglię, Hiszpanię i Ziemię Świętą. We Włoszech kierowano się głównie do Padwy, Wenecji, Rzymu, Bolonii i Neapolu, we Francji — do Paryża i Orleanu, w Belgii — do Lowanium, w Holandii — do Lejdy, w Niemczech — do Wittenbergi, Lipska, Strasburga, Heidelbergu, Monachium i Frankfurtu nad Odrą, w Szwajcarii — do Lozanny, Zurychu, Bazylei i Genewy.

Te podróże „turystyczno-naukowe”, „informacyjno-polityczne”, bo takimi były właśnie peregrynacje zagraniczne, zawierały w sobie wiele pierwiastków twórczych i kulturalnie płodnych. Otwierały szeroko drogę do nowoczesnej kultury i wprowadzały Polskę w ścisłe kontakty intelektualne z najbardziej wówczas postępowymi przedstawicielami myśli europejskiej, dawały możliwość zapoznania się ze szczytowymi osiągnięciami kultury europejskiej, nowymi prądami politycznymi. Dla młodzieży magnackiej peregrynacje zagraniczne stwarzały ponadto możliwość osobistego poznania wielu dostojników dworu francuskiego, papieskiego, angielskiego, weneckiego itd. co później — w okresie piastowania w kraju urzędów ministerialnych i senatorskich — było im niezmiernie przydatne.

Jednocześnie peregrynacje zagraniczne zawierały w sobie wiele pierwiastków negatywnych. Budziły eklektyzm, powierzchowność, kosmopolityzm, polowanie na modę, stwarzały wreszcie niebezpieczeństwo niedoceniania własnej, rodzimej kultury. Z dorobku kulturalnego Zachodu korzystali Polacy tak okresu odrodzenia, jak i okresu baroku — i jedni i drudzy korzystali z niego jednak inaczej. Klasycznym tego przykładem są Zamoyscy. Kiedy twórca Ordynacji Zamojskiej, kanclerz i hetman koronny Jan Zamoyski odbywał regularne studia zagraniczne, to jego syn Tomasz już tylko podróże „turystyczno-naukowe”, „informacyjno-polityczne”, zaś wnuk Jan „Soblepan” wojaże erotyczne, w przenośni i dosłownie, albowiem główną domeną jego zainteresowań były pełne wdzięku córy Terpsychory i Melpomeny, a nierzadko pośledniejsze dziewczęta Paryża, Wenecji, Rzymu czy Neapolu.

Podróż zagraniczna Stanisława Lubomirskiego z lat 1595—1597 była podróżą typową i nietypową zarazem — typową przez fakt, że podróże te odbywali prawie wszyscy ówcześni młodzi magnaci, nietypową, bo wyjechał za granicę mając zaledwie lat 12, a nie jak inni — około 18 roku życia, po ukończeniu w kraju „szkoły średniej”. 22 stycznia 1595 r. stanął więc młody magnat w Monachium w towarzystwie mentora oraz niewiele od siebie starszego ubogiego krewnego i kilkorga służby. Urządzał przyjęcia dla urzędników i funkcjonariuszy dworu książąt bawarskich, jezuitów, bernardynów, Polaków studiujących w Bawarii, posiadał własnego, stałego balwierza, kawalkatora.

Czego uczył się dwunastoletni chłopiec za granicą? W pierwszym rzędzie łaciny, greki i języka niemieckiego. Wiemy także, że uczył się szermierki i jazdy konnej. Poza tym — zwiedzał, przyjmował gości, składał wizyty.

Powróciwszy w 1597 r. do kraju nie zakończył „Stachnik” swoich studiów. Wyjechał jeszcze na uniwersytet padewski, a następnie odbył podróż po Europie zachodniej, odwiedziwszy kolejno Francję, Niderlandy i Niemcy. Wszystko to dało mu dość duże wyrobienie społeczne, zaprawiło do życia politycznego, pozwoliło ukształtować pogląd na wiele spraw. Po powrocie do kraju Lubomirski znalazł się natychmiast w orbicie władzy: m. in. w 1605, 1608 i 1613 r. posłował z ramienia województwa krakowskiego na sejm, w 1619 r. został mianowany przez króla krajczym koronnym, w 1620 r. podczaszym koronnym, w 1628 r. — wojewodą ruskim, a w 1638 r. — wojewodą i starostą generalnym krakowskim. Swą karierę zawdzięczał Lubomirski, podobnie jak inni synowie magnaccy, nie jakimś wybitnym zdolnościom, lecz przede wszystkim olbrzymiej fortunie i koligacjom. Aczkolwiek Lubomirski uchodził w oczach współczesnych za jednego z głównych polityków Rzeczypospolitej, nie kwapił się do tego, by błyszczeć wymową na sejmach czy też wpływać dzięki osobistej bytności na dworze królewskim na bieg spraw państwowych. Na posiedzeniach senatu zjawiał się rzadko, najczęściej wówczas, gdy odbywały się w Krakowie lub gdzieś w

Dokończenie na str. 11

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok VI Styczeń 1970 Nr 15

Andrzej Skupień-Florek ze Stołowego, pow. Nowy Targ, jeden z najpopularniejszych gawędziarzy i poetów góralskich, nie mający właściwie — obok Adama Pacha z Zakopanego — równego sobie „bajarza". Laureat I nagrody Ministra Kultury i Sztuki w tegorocznych „Sabałowych bajaniach".

Fot. CAF

Andrzej Skupień–Florek

Moja wieś

Przy Kośćiwej Grapie, na wiyrśku obdolnym,
Ka notęzej duje z Tater wiater holny —
Hań mało dziedzina — Stołowe — moja wieś,
Haniok sie nom rodzi samusieńki owies.

A owiesek totyn — pszenicom Podhala —
Inkso tu nie fce róść, bo na skale skała.
Hań se mom chałupke, hań moje bywanie,
Haniok se gazdujym na ojców zagonie.

Haniok z tego wiyrśku widzem na około —
Choć hań na odludziu — mnie haw wse wesoło...
Jacej mnie to złości, casem straśnie mierzi,
Ze prec do cysarki i ka kolej jeździ.

Ale za to momy noblizyj do nieba —
A cegos nom do szęścia nobarzej potrzeba?
Kie se fto zamani, łapi sie krawędzie —
Podskocy końdecek i juz w niebie będzie.

Hej! z wiyrśku bliżej jak z doliny,
Pierwej zońdem jak wto iny —
Jak juz trzeba
Iść do nieba!

Miłujem Podhale...

Miłujem Podhale ponad śćkie skarby,
bom sie tu urodził na tyj ziymi skalnej —
Wiater holny z Tater i zródlano woda,
lepiej jako mleko od dziśka mie chowa.

Sumiom mi potoki, śpiywajom ptosecki,
jak wyńdem na Giewont — bierem w gorzé gwiozdecki.
Śćkie het pozbiyrom, podzielem sie z Wami —
bo Wyście mi bracio, z całyk sił kochani.

Zaś złoty miesiącek ostawiym niek świyci,
niek se wylatujom noń astronauci —
Jo hań nie polece, bo jo tu nowole,
i ponad miesiącek — miłujem PODHOLE.

Stołowe, pow. Nowy Targ

Maria Kozaczkowa

Jesień

Już babie lato sieć zastawia
Na promień słońca — coraz szybszy,
Urwały koncert żaby w stawach
I nawet księżyc ma już zmarszczki...

Po kartoflisku dym się wlecze
Jak szron — i zima wnet się zjawi,
Popielacieje nieba przestrzeń
Zamknięta na klucz — żurawi.

I tylko rolnik trud swój wzmaga,
Kłosy na chleb, jak perły, zgarnia,
By potem wszystkich nim obdzielić,
Niby jaskółka dzieci w gniazdach.

Urośnie bochen w twardych rękach,
Zapachnie miodem, rosą, zdrowiem:
Symbol dożynek — jak piosenka:
„Sprawiedliwie chleb dzielcie ojcowie!"

Dąbrowa Tarnowska

Stanisław Poręba

Elegia

Pamięci Józefa Czechowicza w 30 rocznicę śmierci poety

I

Twego domu nie ma
wydrążył go ogień
w czerń stopił stronice książek
odleciały jak ptaki
ptaki żałobne

Zagasły Twoje słowa
boże poezji
w „papierowej koronie"
człowieku
„dotknięty kometą granatu"

II

Wrzesień podnosił niebo
łąki podawały polom
zapach siana
co „pachnie snem"
Mówiłeś —
„o śmierci nic już nie wiem"
metalowe ptaki
sadziły śmierć na drogach
drogi szły na wschód

Mówiłeś —
w południe swoich lat
człowiek wraca do miejsc młodości
jeszcze raz chce słyszeć
z wierzb nad strumieniami
zielony płacz
jeszcze raz chce zbierać
pył
z ulic swojego miasta

Mówiłeś —
„czegóż się bać"
pod niebem polnoleśnej ojczyzny
kochałeś jej wody
piaski
kamienie
choć miały nadejść
noce rozognione przez pożary
dni uległe powiewowi burz

III

Twojego domu nie ma
Ty
„dotknięty kometa granatu"
odszedłeś w pamięć
Pozostały
i żyją
Twe słowa.

Mokre, pow. Grudziądz

Józef Marszałek

Rezygnacja

Nie buntuję się już — obrastam znowu tłuszczem.
Już cicho w sercu, ogień dawno zgasł.
Znów płyną dni — tak beznadziejnie puste,
jak w tamten dawno zapomniany czas.
Już zrozumiałem, że nic mi nie pomoże,
że ani Bóg, ni cały wielki świat.
Bo wszystko, co na świecie zwie się boże
mógł również dobrze stworzyć — „jaśnie czart".
Wszystko mi jedno, jaką płynę łodzią
lub jaką ścieżką wiedzie droga ma.
Wszak ludzkie życie jest wieczną pogonią
za szczęściem, które chwilę tylko trwa.
Nie warto gonić, ani się zabijać.
Nie warto walczyć o wielkiej złudy cień.
Umrę tak, jak żyję: zapomniany i niczyj
i tylko to zostanie: cicha smutku pieśń.

Garwolin

Henryk Łukaszewski

Poszukiwania

To powrót
w zaplakane drzewa
rozdarte sosny nad rowami
i zamarznięte łzy mgieł na gałęziach

to powrót
w ciszę spragnioną
jęczących wichrów
w zaorane znieruchomiałe pola
w prostą symfonię młodości
gdy płacz za kochaniem
był milczący
jak drzewa listopadowe

to powrót
w dostrzeganie bólu
w przeorane życie
na rękach ojca

Rogóżki, pow. Koło

Melania Burzyńska

Ta, co nie zginęła

On nawet nie był
tak straszny, jak wawelski.
Miał trzy piękne głowy,
koronowane jednak.
Trzykroć się tuczył
Tobą,
z dumą pokazał światu
białą plamę na mapie —
a my
drukowaliśmy ją krwią
imion nieśmiertelnych
i łzami bezimiennych
sierot,
aż przefiltrowaliśmy Cię
przez krew i łzy...

Znów ludobójca
zaszczekał salwami
morderczego kaszlu,
spluwając w dół
strzępami krwawych ciał.
Wzniósł wysoko czarny sztandar
swego zwycięstwa —
dym na maszcie krematorium —
zatknięty na mogile milionów —
śmierć!
A ty żyjesz —
karmiona serdeczną krwią,
przechowaliśmy Ciebie
w bunkrach serc.

Jaświły, pow. Mońki

Seweryn Skulski

Ten liść

Ten złoty liść coś mi szeleści,
Ten z drzewa jesienią strącony.
Mówi mi jakieś opowieści
O dawnych chwilach przeminionych.

Ten spadły liść mi przypomina
Mojej młodości dni pogody,
Te wszystkie miody, wszystkie wina
Wypite dawno w latach młodych.

Że liść mi mówi wiele, wszystko,
Jakie jest życie rzeczywiście,
Że moja jesień gdzieś już blisko,
Że lata lecą, jak te liście.

W dawnych wspomnieniach się rozmilam.
I w pogodnego życia dali,
Choć wiem, że życie tylko chwilą
Dla tych, co życie ukochali.

Ja patrzę w dal minioną mile,
Ale nie z żalem i boleścią,
Jak ten, co każdą życia chwilę
Pragnie umalć jakąś treścią.

Zrobiłem mało, tylko tyle,
A tu już głowa prawie siwa.
Bom się o własnej tylko sile
Z niekształtu tłumu wyrąbywał.

A chociaż możem nie dał rady
Na życie otworzyć swych powiek,
Ale szukałem jednak śladów
I drogi, którą idzie człowiek.

Karnkowo, pow. Lipno

Bronisław Pietrak

Cieszą się ludzie

Cieszą się ludzie,
Że już jesień,
Że się na drzewie liść czerwieni,
A mnie jest smutno,
A mnie tęskno
I tego nikt już nie odmieni.
Cieszą się jedni,
Gdy jest słonko,
Drudzy, gdy deszcz jesienny siąpi,
A mnie ni słonko,
Ani deszczyk
Uśmiechu Żony nie zastąpi.

Gutanów, pow. puławski

Z życia STL

Status twórcy ludowego

Zainteresowanie dla twórczości ludowej we wszelkich jej przejawach zatacza w Polsce coraz szersze kręgi, nikt jednak — jak dotychczas — nie pokusił się o to, by zdefiniować pojęcie współczesnej sztuki samorodnej, by wskazać kryteria, które pozwoliłyby odróżnić autentycznego chłopskiego poetę czy rzeźbiarza od amatora stylizującego się na ludowość. Wydaje się, że wreszcie i w tym zakresie najbliższa przyszłość powinna przynieść pożądane efekty. Dowodem tego może być memoriał Koła ZSL przy CPLiA w Warszawie w sprawie statusu twórcy ludowego. Zarząd Główny STL, po zapoznaniu się z treścią tej uchwały, wystąpił z wnioskiem o pełne poparcie dla inicjatorów podjęcia dyskusji nad tym problemem i skierowanie odpowiednich dokumentów do władz PRL. W piśmie do Naczelnego Komitetu ZSL Zarząd Stowarzyszenia zwraca m. in. uwagę na fakt, że mimo wysokiej oceny i rangi społecznej, jak również dostarczania krajowi poważnych wpływów dewizowych, większość twórców ludowych, szczególnie starszych, znajduje się w trudnych, a czasem wręcz katastrofalnych warunkach życiowych. Tylko nieliczna grupa ma zagwarantowane stałe dochody dzięki współpracy z takimi instytucjami, jak CPLiA, ale i tu narzucane przez handel wzory i tzw. długie serie najczęściej nie sprzyjają rozwojowi autentycznej sztuki ludowej. Jak dotąd — rady narodowe ograniczają się jedynie do sporadycznych i niskich zapomóg dla twórców. Co wreszcie najistotniejsze — żaden akt prawny nie broni praw autorskich twórcy ludowego. W tej sytuacji ZG STL występuje we wspomnianym piśmie w obronie samorodnych artystów, pisząc m. in.:

„Stała opieka i pomoc socjalno-bytowa ma kapitalne znaczenie kulturotwórcze. Zdaniem Stowarzyszenia — dalszy rozwój i kontynuacja sztuki ludowej jest nieodzownym warunkiem prawidłowego i wzbogaconego rozwoju kultury narodowej.

Tymczasem mistrzowie sztuki ludowej rzadko znajdują kontynuatorów wśród młodzieży. Otoczenie ich większą opieką materialną, a szczególnie zabezpieczenie zdrowia i starości znacznie podniosłoby rangę twórcy w środowisku, przyczyniając się jednocześnie do atrakcyjności kontynuowania twórczości ludowej przez młodych, uzdolnionych następców.

Stąd Stowarzyszenie Twórców Ludowych popiera w pełnej rozciągłości memoriał Koła ZSL przy CPLiA w sprawie statusu twórcy ludowego".

Sprawy, o których mowa wyżej, nie należą do łatwych i z pewnością wymagają czasu, cieszy jednak i to, że nareszcie o twórcach ludowych mówi się coraz poważniej i konkretniej i dlatego można mieć nadzieję, że za słowami pójdą i czyny.

Uchwała Naczelnej Rady Spółdzielczej

Realizując uchwały ostatniego Zjazdu, Zarząd Główny STL podjął kroki mające na celu nawiązanie ścisłej współpracy z szeregiem instytucji i organizacji społecznych. I oto pierwsza, bardzo pomyślna wiadomość: dzięki wyjątkowej życzliwości i pełnemu zrozumieniu potrzeb i celów Stowarzyszenia, Naczelna Rada Spółdzielcza w Warszawie podjęła na posiedzeniu Prezydium w dniu 17.10.1969 r. uchwałę, apelującą do wszystkich organizacji spółdzielczych w Polsce o pogłębienie i rozszerzenie współpracy z STL i udzielanie mu wszechstronnego poparcia. M. in. uchwała zaleca:

— organizowanie w większych ośrodkach międzyspółdzielczych oddziałów Stowarzyszenia, klubów twórców ludowych, z zachowaniem przepisów statutu Stowarzyszenia;

— udzielanie w miarę możliwości pomocy organizacyjnej i materialnej na inicjatywy Stowarzyszenia podejmowane na terenie działania spółdzielni, np. na organizację wspólnych imprez folklorystycznych, wystaw, konkursów, muzeów, parków etnograficznych itp.

Uchwała zaleca ponadto podległym placówkom wykorzystywanie sztuki ludowej przy dekoracji wnętrz, klubów, gospód, kawiarni itd., jak też wskazuje na konieczność i potrzeby wszechstronnego popularyzowania samorodnej twórczości przy ścisłej współpracy z STL. Witając z uznaniem i prawdziwą satysfakcją uchwałę NRS, mamy prawo spodziewać się, że w jej ślady pójdą inne organizacje i instytucje społeczne i kulturalne.

Muzeum i archiwum piśmiennictwa ludowego

Zgodnie z zaleceniami uchwały Zjazdu, ZG STL przystąpił do prac nad gromadzeniem i opracowywaniem materiałów dla potrzeb organizowanego przy Stowarzyszeniu muzeum i archiwum piśmiennictwa ludowego. Rozpoczęto kompletowanie indywidualnych teczek członków STL. W każdej takiej teczce powinny się znaleźć możliwie jak najpełniejsze materiały biograficzne (życiorys, ewent. artykuły i opracowania dot. twórczości danego poety, recenzje jego tomików, informacje o spotkaniach autorskich, nagrodach itp.), publikacje książkowe i wycinki prasowe, wreszcie utwory w maszynopisie i rękopisie. Nie powinno też zabraknąć przynajmniej jednej fotografii twórcy. W związku z tym Zarząd Główny STL zwraca się z apelem do wszystkich członków i twórców o nadsyłanie pod adresem Stowarzyszenia (Lublin, Dąbrowskiego 9), bądź dra Romana Rosiaka (Lublin, Przodowników Pracy 2 m. 18), któremu powierzono tę pracę, wszelkich materiałów dotyczących własnej twórczości, przede

Dokończenie na str. 10

Chełmscy poeci ludowi

Elżbieta Rosiak

ZIEMIA Lubelska ma około 100 samorodnych poetów chłopskich. Zapewniło jej to pierwsze miejsce przed województwem krakowskim. Najbardziej prężnymi ośrodkami twórczości ludowej w naszym województwie są powiaty: puławski i chełmski. Właśnie na Chełmszczyźnie działa około 30 poetów ludowych. Sądzimy jednak, że to jeszcze nie wszyscy są zanotowani. Oto nazwiska tych, którzy mają już za sobą start na łamach pism regionalnych, centralnych i w antologiach: Władysław Kuchta, Paulina Hołyszowa, Józef Bassa, Aniela Stańczak, Michalina Borodej, Franciszek Metera, Aleksandra Gąsiorowska, Sabina Borzęcka, Józefa Surdyk i in. Jak widać z tego wyliczenia, prym wiodą kobiety. Wszyscy zresztą należą do pokolenia starszego.

Jednym z przedstawicieli postępowego nurtu poezji chłopskiej był Michał Kossowski, którego sylwetkę możemy znaleźć w „Ziemi Chełmskiej" z 1960 r. Wprawdzie nie był on chełmianinem, ale losy związały go na kilka lat z tym regionem. Należał do grona poetów zaangażowanych, walczących o dzisiejszą rzeczywistość, świadomych swojej przynależności klasowej.

Lata jego życia (urodzony w 1877 r., zmarł w 1937 r.) ogarniają kawał historii, ogrom przemian dziejowych. Już przed wojną był poetą walczącym, należał do PPS, później do KPP, po wojnie zaś włączył się w tworzenie władzy ludowej. Jemu też przypadło w udziale zorganizowanie w roku 1944 Powiatowej Rady Narodowej w Krasnymstawie. Pozostawił po sobie ponad 2 000 utworów.

Kossowski w latach 1921—1926 pracował w gminie Wojsławice (pow. Chełm) jako pisarz. Był jednak w czasach przedwojennych postacią niewygodną, miał zajadłych wrogów z tzw. sfer wyższych, które spowodowały, że musiał zmienić miejsce zamieszkania. Cieszył się w Wojsławicach sympatią ludności, zaufaniem, szacunkiem, gdyż stawał w obronie sprawy ludowej. Na okres wojsławicki przypada wiele utworów Kossowskiego, m. in. „Chłopskie przyśpiewki", „Zjechali się zbiry — obszarniki w Warszawie", „Obrazek wiejski", „Skąd idzie zło dla chłopa", „Prawda". W twórczości własnej sięgnął Kossowski do postępowych wzorów z historii literatury, zwłaszcza do spuścizny Reja i Kochanowskiego. Chętnie posługiwał się dialogiem wierszowanym, fraszką i bajką. Podobnie jak w „Rozprawie" Reja akcja utworów Kossowskiego rozgrywa się w plebanii, w kościele, na dworze dziedzica itd. Wybór formy nie jest przypadkowy. Kossowski, który niejedno widział w życiu, jak świadczy jego życiorys, i niejedno przeżył na własnej skórze, słusznie wybierał lapidarne formy artystyczne, które trafiały do czytelnika i zmuszały go do innego, bardziej krytycznego stosunku do rzeczywistości.

Znana i popularna na Lubelszczyźnie jest zwłaszcza czwórka poetów Ziemi Chełmskiej Władysław Kuchta *), Paulina Hołyszowa, Aniela Stańczak i Józef Bassa. Seniorką jest Paulina Hołyszowa (ur. w 1892 r.), poetka ze Strupina Dużego, następnie Józef Bassa (ur. w 1900 r.) z Nowego Folwarku, najmłodsi to Władysław Kuchta z Mołodutyna (ur. w 1911 r.) i jego rówieśnica Aniela Stańczak z Uhra. Paulina Hołyszowa, a także Władysław Kuchta, są od urodzenia związani z Chełmszczyzną. Aniela Stańczak i Józef Bassa wprawdzie pochodzą z innych terenów, ale tylko metryki wskazują na to, skąd przybyli. O tym ścisłym powiązaniu życia z twórczością np. Józefa Bassy niech zaświadczy następujący cytat:

Dzięki umiejętności trafnego dostrzegania wad miejscowego społeczeństwa pisze cięte, pełne zdrowego humoru fraszki i satyry. Utwór umieszcza na kartce papieru i przybija do pnia drzewa rosnącego przy drodze obok jego domu lub po prostu puszcza kartkę po wsi. Ludzie chętnie czytają, w mig odgadują, pod czyim adresem posypały się rymy, śmieją się zadowoleni, kartkę oddają dalej, lub niejednokrotnie uczą się utworu na pamięć (L. J. Okoń).

Ale twórczość poetów ludowych Chełmszczyzny to nie tylko zaprezentowanie uzdolnień poprzez utwór literacki, lecz także świadoma działalność, mająca na celu upamiętnienie wśród potomnych historii własnej gromady! To nic, że nie mają gruntownego wykształcenia, że często podświadomie dochodzą do metod swej pracy, ale ważne jest, że zdają sobie sprawę z ważności podejmowanych zadań. I tak np. Władysław Kuchta, który ukończył 4 klasy szkoły powszechnej, jest korespondentem pism centralnych, interesuje się przeszłością regionu, zbiera materiały do monografii wsi, w której urodził się i pracuje. Paulina Hołyszowa, samouk, nauczyła się czytać z książeczki do nabożeństwa; zbiera obyczaje wsi już od 50 lat.

Aniela Stańczak, mimo trudnych warunków rodzinnych i niewielkiego wykształcenia (3 klasy szkoły podstawowej), znajduje czas na to, ażeby śpiewać piękno Ziemi Chełmskiej.

Józef Bassa, który zaczął pisać po wyzwoleniu, ma za sobą tylko dwuletni pobyt w szkole. Toteż w wierszu zatytułowanym „Gdybym był uczonym" napisał:

Gdybym był nieco uczonym
I na roli się nie poził,
Tobym nasze miasto
Poezją ozłocił.

Podobnie Paulina Hołyszowa w utworze „W tych wierszach" dzieli się z czytelnikiem refleksjami o swej twórczości. Mówi, że jej utwory są nieudolne, gdyż nie miała warunków do nauki, dziś jest już za stara i trudno zdobywać jej wiedzę, ale czuje potrzebę tworzenia i dlatego wierszom tym nie należy się dziwić. U Hołyszowej łatwo zaobserwować emocjonalny stosunek do opisywanych krajobrazów najbliższego otoczenia. Często używa zdrobnień, np. w wierszu „Jesień" pisze: nocka, dzionki, lub w „Za moją chatą": pastuszek, gniazdeczko, każdziusieńka, koniki, sadki. Piękny hołd złożyła Hołyszowa w wierszu „O grudko mojej ziemi" Ziemi Chełmskiej, którą nazywa relikwią świętą. Zdaje sobie sprawę, że łączy ją z zagonem niepojęta siła. Gleba czuje pot i krew człowieka i potem wynagradza hojnie jego wysiłek.

Jak już zauważyła Alina Aleksandrowicz, Paulina Hołyszowa niechętnie odkrywa serce przed czytelnikiem, jest powściągliwa, skromna. Jedynie w utworze „Wigilia" w całej pełni do głosu dochodzi liryczne ja. Poczucie osamotnienia w dniu święta, które w Polsce ma wiekową tradycję, specjalną obrzędową oprawę, podyktowało poetce pełne goryczy wyznanie, a zarazem określiło rolę, jaką spełnia poezja w jej życiu:

Ni kolędy z kim śpiewać,
Ni do kogo gadać,
Wzięłam pióro i będę
Swoje rymy składać.

Często w utworach poetki pojawia się refren charakterystyczny dla poezji ludowej, dla pieśni, używa także licznych powtórzeń; najchętniej pisze utwory czterowersowymi zwrotkami z rymem ab, ab. Ważną rzeczą w twórczości P. Hołyszowej jest to, że potrafi krytycznie ocenić swe utwory i ta właśnie prostota najbardziej ujmuje czytelnika:

Moje wiersze takie, jaka moja dola.
Nie są wybujałe, jak bywa topola.
Tylko rozochate, jak ta w polu grusza.
Jak ta jabłoń krzywa, jak ma chłopska dusza.

Zupełnie inny rodzaj twórczości reprezentuje Józef Bassa. Najbliższa jest mu satyra, a co się z tym wiąże — dydaktyzm i służenie ludziom z najbliższego otoczenia. Podobno języka Bassy boją się sąsiedzi. I słusznie. Nie musimy bać się, że jego muza umrze, bo dokąd istnieją ludzie, oko satyryka dojrzy odpowiednie tworzywo do utworów.

Poeta piętnuje pijaków, gaduły z zebrań gromadzkich, wskazuje na dobrodziejstwo techniki włączonej w służbę rolnika i odciążenie od nadmiernej pracy kobiety wiejskiej. Nowa problematyka widoczna jest także w utworach: „Pirat drogowy", „Radioamator" czy „Nowoczesne małżeństwo". Zacytujemy ostatni z wymienionych utworów:

Wczoraj się pobrali,
Nocką razem spali.
Dziś śniadanie zjedli
I już się rozwiedli.

Ze służebnej roli poezji zdaje sobie Bassa sprawę, chociaż, podobnie jak Hołyszowa, przestrzega czytelników przed niedostatkiem pisanych utworów „rękami czarnymi od pługa":

Chociaż moje wiersze słabe,
Mają treść ubogą,
Ja już na to nie mam rady,
Więc służę, czym mogę.

*) Władysławowi Kuchcie, który jest niewątpliwie najwybitniejszą indywidualnością wśród chełmskich poetów ludowych, poświęcamy tym razem nieco mniej miejsca z dwu przyczyn: „Ziemia i Pieśń" już w 2 numerze z października 1965 zamieściła jego obszerną sylwetkę, podobnie jak uczynił to później „Głos Młodzieży" w numerze 9 z 1968 roku, niezależnie zaś od tego w dzisiejszym dodatku „Kameny" znajduje się odrębna nota dedykowana poecie. W tej sytuacji można było więcej uwagi skoncentrować na Paulinie Hołyszowej, jedynej obok Kuchty autorce, mającej w dorobku samodzielny tomik — „Nasze wesele".

Panorama Chełma. Obraz Juliana Bajkiewicza z Chełma. Fot. Jan Urbanowicz

Paulina Hołyszowa

O mojej ścieżynie

Moje wiersze karłowate,
po ziemi pełzają
i z wierszami panów z miasta
już się nie zrównają.
Ich wiersze wysokopienne,
bo z wiedzy pochodzą,
moje wiersze niziuteńkie,
bo się na wsi rodzą.
Panów wiersze nawet w książce
mymi gardzić mogą,
bo ich wiersze chodzą inną,
moje inną drogą.
Panów wiersze więcej chodzą
miasta ulicami,
moje wiersze chodzą polem,
wąskimi miedzami.
Lecz ja niczym się nie zrażam
i niczym nie chwalę,
a choć czasem co posłyszę,
to też się nie żalę.
Łokciami się nie rozpycham,
bo by mnie bolały,
chodzę sobie tą ścieżyną,
którą losy dały.

Strupin Duży, pow. chełmski

Aniela Stańczak

Ziemia ojczysta

Ziemio droga, ojczysta,
Tulisz mnie do łona,
Tak jakby mateńka
Kochana, rodzona.

Łąki stroisz w kwiaty,
Pola stroisz w kłosy,
A brzozie przydrożnej
Splatasz w warkocz włosy...

O, ziemio ojczysta,
O, matko rodzona,
Karmisz mnie i tulisz
Do swojego łona.

Uher, pow. chełmski

Janina Gradzińska

Wy nie wiecie

Cicho szumią stare drzewa,
Krzak jaśminu się kołysze,
Pod mym oknem słowik śpiewa,
A ja siedzę i wciąż piszę.

Śliczny wieczór dziś majowy.
Tak się czegoś zamyśliłam,
Dziwne rymy mkną po głowie,
Jednak wiersza nie skończyłam...

Oj, nie wiecie, co to znaczy
Nocą cichą wiersze pisać
I wśród rymów, trudnej pracy,
W swych marzeniach się kołysać.

Czerniejów, pow. chełmski

Józef Bassa

Ziemia Chełmska

Nasza Ziemia Chełmska
Jest jak piękny kwiat,
Który barwnie kwitnie
Całe tysiąc lat.

Ten kwiat pielęgnują
Ręce pracowite,
Bo to kwiat z bukietu
Rzeczypospolitej.

Brońmy go w potrzebie
Przed wrogim pochodem,
Bo nas żywi chlebem
I mlekiem, i miodem.

Nowy Folwark, pow. chełmski

Michalina Borodej

Naucz mnie kochać

Naucz mię kochać, mamo,
Polne kwiaty i łąki, i gaje,
Ptaszki, co w powietrzu latają,
Jasne słonko, co rankiem wstaje.

Złote niwy chlebem pachnące,
Polskie miasta i sioła,
Dnie pogodne, lata gorące,
Zboża rozchwiane dokoła

Bystrą wodę, co falą uderza,
I chwilę, gdy się dzwonek budzi,
Czuwającego nad Polską żołnierza
I ludzi, naucz mnie kochać ludzi...

Brzeźno, pow. chełmski

Baňka. Wyk. Jan Sławiński, Pawłów, pow. Chełm. Ze zbiorów Muzeum w Lublinie.

Z życia STL

Dokończenie ze str. 9

wszystkim zaś publikacji książkowych i wycinków z gazet (w miarę możliwości z podaniem nazwy gazety, numeru, strony i daty), fotografii, maszynopisów i rękopisów, informacji o pracy społecznej i spotkaniach z czytelnikami, wreszcie wiadomości o innych twórcach. Ponieważ przy ZG STL organizuje się równocześnie bibliotekę, stąd druga prośba — o przekazywanie niezbędnych czasopism i książek poświęconych literaturze i sztuce ludowej, zwłaszcza, jeśli chodzi o wydawnictwa starsze. Stowarzyszenie pragnie bowiem utworzyć nie tylko coś w rodzaju izby pamiątek czy sali poświęconej literaturze chłopskiej na terenie znajdującego się w stadium organizacji Muzeum Wsi Lubelskiej, chce także doprowadzić do tego, by powstała placówka bibliograficzna, dysponująca katalogiem twórców ludowych, których dorobek zostałby zabezpieczony w archiwum we wspomnianych teczkach, wzbogacony o taśmy z nagraniami itp. Mamy nadzieję, że apel ten nie pozostanie bez echa.

Sprawy organizacyjne

Po otrzymaniu lokalu przy ul. Dąbrowskiego 9, Zarząd Główny STL nadal dysponował tylko 1 etatem sekretarza biura i ryczałtem dla księgowego. Ostatnio nastąpiły w tym zakresie bardzo poważne zmiany. I tak ze względu na podjęcie studiów doktoranckich w Warszawie odszedł mgr Jerzy Szmagalski, tymczasem zaś dzięki Wydziałowi Kultury PWRN Stowarzyszenie otrzymało nowe etaty i w tej chwili biuro zatrudnia już 4 osoby. Dyrektorem jest mgr Stanisław Weremczuk (dotychczasowy zastępca kierownika Wydziału Kultury PWRN), opiekę nad plastyką ludową przejęła mgr Maria Grybel-Meksuła, etnograf, finanse powierzono Barbarze Koter, zaś sprawy związane z piśmiennictwem ludowym — drowi Romanowi Kosiakowi.

Pierwsze efekty już są. Oto tylko niektóre z nich: odbyło się zebranie Zarządu Głównego, na którym m. in. podjęto decyzję ogłoszenia wyników konkursu na poezję w grudniu br., konkursu na legendy — w maju 1970 r., postanowiono też wspólnie z ZMW ogłosić nowy konkurs dla młodych twórców w kilku dziedzinach sztuki. Opracowano regulamin i ustalono zasady współpracy STL z klubami miłośników twórczości ludowej. Podjęto kroki w celu wydawania własnych 2-kartkowych folderów (plastyka i poezja).

Biuro STL otrzymało już zamówione w warszawskiej firmie jubilerskiej „ORNO" znaczki, zaś legitymacje oddano do druku. Ponadto z okazji jubileuszu 75-lecia urodzin ZG STL przesłał Seweryn Skulskiemu gratulacje i wspólnie z Wydziałem Kultury PWRN w Bydgoszczy zorganizuje mu spotkanie jubileuszowe. I jeszcze jedna wiadomość: Komisja Rewizyjna przy ZG dokonała oceny działalności Stowarzyszenia za rok 1968 — z wynikiem pozytywnym. Przytoczone fakty są dosyć wymowne i świadczą o ambicjach a zarazem możliwościach STL. Nie ulega wątpliwości, że odtąd w każdym następnym dodatku „Kameny" będzie tych informacji coraz więcej, a to cieszy. Cieszy tym bardziej, że — jak wynika z przygotowanych wstępnie planów działalności STL na rok 1970 — już za pół roku (w maju) o dorobku Stowarzyszenia będziemy mogli porozmawiać na kolejnym Ogólnopolskim Zjeździe Delegatów — członków Stowarzyszenia w Lublinie.

Kamena str. 10

Władysław Kuchta

Noc na wsi

Słońce znużone wędrówką dzienną
za lasem, hen, kona,
schyliło głowę ognistą i senną;
wyrok dnia się wykonał.

Noc czarna siadła na dachy chałup
i płaszczem ciemnym świat okrywa,
księżyc półkolem wypłynął na niebo
i cicho jak łabędź pływa.

Mołodutyn, pow. chełmski

Recenzując tomik poezji Władysława Kuchty pt. „Bławatki", stołeczny dziennikarz napisał na łamach „Zielonego Sztandaru" w 1963 roku m. in.:

„Przewodni nurt miłości do ziemi i pracy przeplata się w wierszach Kuchty z pięknem lokalnego kolorytu ziemi chełmskiej, stawionej przez poetę zwłaszcza wiosną".

W tym samym roku w „Dzienniku Ludowym" pisano o Kuchcie:

Władysław Kuchta — to piewca tej miłości szczególny. Nie tylko w jego wierszach, ale i w jego życiu nie ma nic z pozy. Nie kryguje się, nie zgrywa. Kocha pracę, kocha książki. Czas dzieli między pług i bronę, którymi użyźnia ziemię oraz działalność społeczną, która pragnie użyźniać chłopskie wiejskie bytowanie".

Dodajmy od siebie tylko następujące informacje: Władysław Kuchta otrzymał ostatnio dyplom uznania od Wojewódzkiego Komitetu FJN oraz I nagrodę w konkursie jednego wiersza, zorganizowanym tradycyjnie z okazji „Dni Chełma". Rada Państwa w uznaniu jego zasług przyznała mu Złoty Krzyż Zasługi, zaś Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie — doroczną nagrodę wojewódzką za całokształt twórczości.

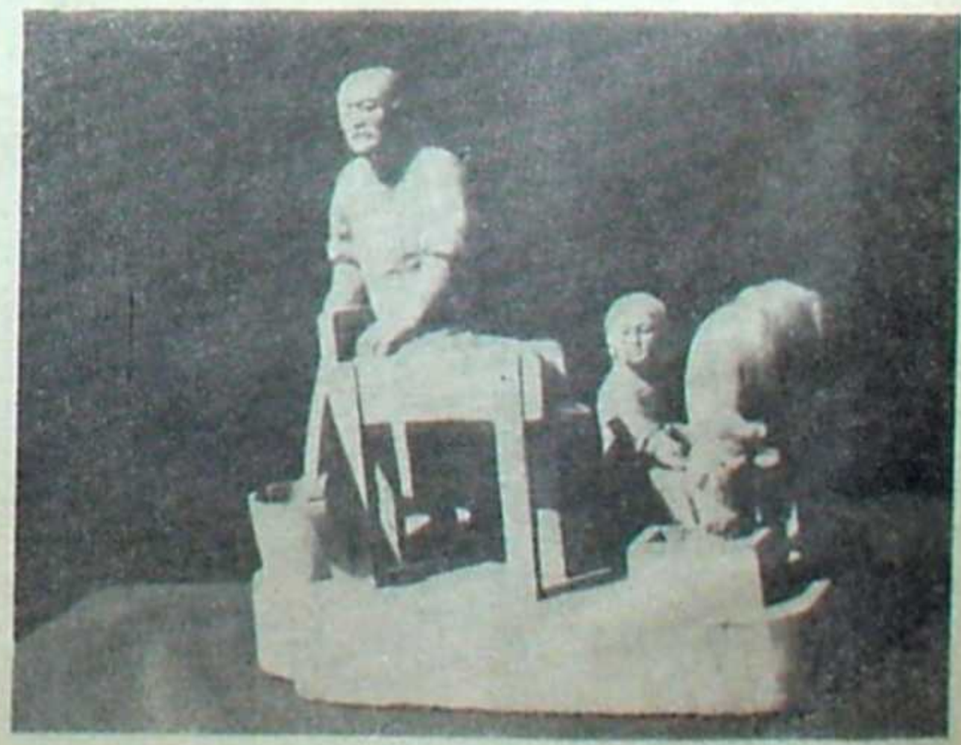

„Przy pracy". Rzeźba Franciszka Sitarza z Chełma. Fot. Henryk Sitarz

Listy do KAMENY

Przeciw zmianie profilu pisma

Stosunkowo od niedawna (jednak nie od czasu skasowania wizytówki regionalnej w winiecie pisma!) czytuję wasz na razie mało popularny w Kielcach dwutygodnik społeczno kulturalny. W oparciu o numer „Kameny" z dnia 7 XII 1969 r. chciałbym podzielić się z redakcją swoimi uwagami na temat treści pisma.

Otóż wbrew temu, co twierdzi zasymilowany warszawiak z Białegostoku p. Konrad Harasiuk, „Kamena" nie powinna zatracić, tak w formie jak i w treści, swojego regionalnego charakteru, a przeciwnie — odzwierciedlać w sposób dobitny zjawiska życia społeczno-kulturalnego, zachodzące przede wszystkim na obszarze wiadomych czterech województw. Toteż na uznanie i poczytność mogą liczyć w pierwszym rzędzie takie artykuły, jak „Manekiny i ludzie" J. Dostatniego, „Slalom przez Radom" I. Kamińskiego, „Regionalizm dobrze pojęty" Z. Mańkowskiego, wreszcie „Lubelska Opolszczyzna" Z. Dublewicz.

Natomiast w nieadekwatnym stosunku do profilu pisma (nawet dla urozmaicenia) pozostają takie „odcinkowe" pozycje, jak „Zwierzenia panastasiowe" M. Dereckiego, czy „Koncerty nad morzem" W. Łobody; posiadają one charakter tuzinkowych, nieodkrywczych reportaży, na które sili się, idąc w parze z modą na ten gatunek literacki, każda gazeta codzienna na użytek sobotnio-niedzielnego relaksu swoich czytelników. Opisywanie wrażeń z każdej, nawet nieciekawej podróży (ale za to zagranicznej!!!) stało się, niestety, „samograjem" dla niektórych publicystów. Czynią to oni przy tym w ten niemiły sposób, jak gdyby byli pierwszymi rodakami na zagranicznym bruku, odkrywając typowe miejsca i banalne zjawiska z miną Kolumba. Nie oparła się tej manierze również i „Kamena".

W przeciwieństwie do tego rodzaju reportaży — na przeczytaniu tylko ich tytułów poprzestaję — bardzo ciekawą tematykę regionalną prezentują pozostałe artykuły wspomnianego numeru. Pozostawiając na uboczu fakt marginesowego traktowania spraw Kieleczczyzny na łamach „Kameny", chciałbym właśnie na bogatą skalę problematyki regionalnej tej części Polski zwrócić uwagę redakcji. Niepowtarzalne piękno folkloru Ziemi Kieleckiej, walory turystyczne świętokrzyskiej krainy, jej rozliczne tradycją historii narodowej uświęcone miejsca; kolebka polskiego górnictwa i hutnictwa, chlubna karta dziejów walk partyzanckich z faszystowskim ciemięzcą — oto tylko niektóre tematy godne pióra publicystów „Kameny". Wszystko naturalnie odmierzone w sposób nie dyskryminujący pozostałych ziem wschodnich Polski.

Spełnienie dopiero tych postulatów uzmoże popularność i poczytność waszego pożytecznego magazynu w kręgach czytelniczych Kieleczczyzny.

Serdecznie pozdrawiam

Romuald Jałowiecki
Kielce

O Kraśniku Fabrycznym — inaczej

W jednym z ostatnich numerów „Kameny" przeczytałem wzmiankę o mojej korespondencji w nr 42 „Ud." Notatka ta utwierdziła mnie w moich wątpliwościach co do słuszności wyżej wspomnianej korespondencji. Rzeczywiście, treść mego artykułu jest zbyt subiektywna i nie oddaje trafnie atmosfery życia naszego miasta. Popełniłem błąd, że napisałem ten materiał po trzyletniej prawie nieobecności w Kraśniku Fabrycznym. Treść listu opublikowanego w „Ud." odzwierciedla moje pierwsze wrażenia, jakich doznałem po powrocie do tego miasta. Rzeczywiście zapomniałem o kinie, ale kiedy pisałem ów artykuł, był okres letni, a ogórki nie sprzyjają repertuarowi. Niemal wszystkie filmy prezentowane wówczas przez miejscowe kino „Metalowiec" już oglądałem. Ponieważ były to seriale „Angelic", „Fantomasów" i „Arsene Lupinów", więc nie miałem zbytniej ochoty patrzeć na to po raz wtóry. Owa pani w kremowej sukience to tylko taki wyimaginowany symbol, a na pijaków trudno było wtedy nie patrzeć, bo musiałbym chodzić z zamkniętymi oczyma i mógłbym zrobić sobie krzywdę...

Nie piszę tego listu, żeby się bronić. Przyznaję Panu całkowitą rację i chcę się przeprosić z Kraśnikiem Fabrycznym. Skończyły się już dawno wakacje, a zaczęły się moje wątpliwości. Oto w repertuarze pojawiają się takie tytuły filmów, jak „Polowanie na muchy" Andrzeja Wajdy, „Gra" J. Kawalerowicza, „Ścigiedzi" Ścibora-Rylskiego i wiele innych, których nie powstydziłyby się premierowe kina miasta wojewódzkiego Lublina! Niedawno oglądaliśmy sztukę Grodzieńskiej i Jurandota „Ballada o tamtych dniach", wystawioną przez Państwowy Teatr im. J. Osterwy. Dwa spektakle w ciągu jednego dnia przy wypełnionej po brzegi sali! Niemal w każdym miesiącu odbywały się spotkania autorskie (np. z p. Leszkiem Prorokiem), ciekawe prelekcje na temat filmu, teatru, polityki. Sam zapisałem się do amatorskiego zespołu teatralnego ZDK. Obecnie przygotowujemy program poetycki, oparty na tekstach Gałczyńskiego, Majakowskiego i innych poetów. W każdy czwartek w kawiarni, o której napisałem tyle gorzkich słów, odbywają się dancingi młodzieżowe. Wszyscy pięknie się bawią i nikt nie jest pijany.

Zacząłem żałować swego nierozsądnego kroku i miałem cichą nadzieję, że mój artykuł tym razem nie zostanie zamieszczony. Aż wreszcie ten feralny 42 numer. Jeszcze łudziłem się, że nikt tego nie przeczyta. Niestety, jeszcze tego samego dnia odbyło się moje nieoficjalne spotkanie z czytelnikami. Potem już wszyscy o tym pozapominali. Pozostał tylko nie spłacony dług wobec Kraśnika Fabrycznego. Ten dług zapłacił Pan za mnie, za co serdeczne dziękiś! Pozostaję z poważaniem dla „Kameny".

Stanisław Mazur
Kraśnik Fabryczny

Na marginesie ankiety czyli plaga magisteriów

Moja wypowiedź, jak zdążyłem zaznaczyć w tytule, wykracza poza ramy waszej ankiety „Co robisz magistrze?" („Kamena, nr 23 z 9 XI br.). Przynależąc do drugiej grupy nieproszonych respondentów, zdecydowałem się na śmiałość, aby wyrazić swoje rozdrażnienie, swój niepokój poparty przykładami z własnego doświadczenia. Przed wojną, kiedy rozpoczynałem studia, brano mnie w okolicy za przysłowiowego bożka i wróżono niepospolitą przyszłość. Sam fakt rozpoczęcia studiów kwalifikował mnie do elity intelektualistów i chociaż zaliczyłem tylko dwa lata historii na UW, to i tak zdobyłem wiedzę pewną, ustabilizowaną, wnoszącą zdecydowaną postawę dla przyszłej pracy zawodowej. Przed wojną z pracą bywało różnie; pracowałem fizycznie (podobnie w czasie okupacji), natomiast po wyzwoleniu zostałem mianowany dyrektorem (to nieważne, gdzie i co potem). Chcę bowiem mówić o tych, którzy dziś mienią się magistrami; są oni ważni, tacy mądrzy, gardzą naszą wiedzą i naszym wszechstronnym doświadczeniem. To prawda — nie posiadam żadnego tytułu naukowego, ale jestem gotów dać konia z rzędem temu, kto wykaże swoją mądrość i wiedzę ponad tę, jaką posiadam, przynależną do jakiegoś „tabu", obcego mi. Boć ci młodzi magistrzy, z rozczłapanymi wiadomościami, bez doświadczenia życiowego, wnoszący zamęt, enigmatyczność wiedzy nb. tak mało życiowej i przystępnej — prezentują na co dzień manię wielkości i pretensjonalność: „stary" nie zrozumie tego, on utnie twoją przydatność zawodową; wierzysz, że pozna się na tobie itp. A gdy wypadnie ostudzić te zapędy, czego lepiej uniknąć, wtedy wyłazi z młodych magistrów chamowatość, brak wychowania i zawziętość.

To co piszę, jak mniemam, redaktor zaopinuje: „konflikt pokoleń", nic więcej, i wrzuci list do kosza, ucinając mi możliwość głosu, sprowokowanego wprost przez ankietę. Przeto, nie kultywując pozytywnego złudzenia, mógłbym poprzestać w części sygnalizującej ogólnikowo tu problem, gdyby tylko szło o przysłowiową beczkę prochu: nas, ludzi mających na koncie niejedno osiągnięcie, niejedną ważką decyzję, gdzie wiele zależało od słówka „tak" lub „nie", i młodych, którzy pragną nas prześcignąć chytrością, lecz uparcie sądzę, że redakcja udostępni mój głos w ankiecie, która została wszak zawężona do ścisłego grona „wybrańców". Magistrzy, zwłaszcza ci sprzed kilku lat, z pewnością są bardziej dojrzali, dla wielu z nich zdobywanie dyplomu nie obeszło się bez trudności. Lecz mimo pozorów, wciąż mało mają wspólnego z tym, czym chcą być. Proponują inne spojrzenie na każdy fakt, niezgodne i denerwujące i szokujące, na każde zjawisko, wnoszące samodzielną interpretację, dufni z tego, że bezkarnie mogą to ujawniać. Mimo kwestionowanej przydatności w pracy często są kryci, brani w obronę — domagają się równych możliwości z nami, różnych uprawnień, jednakiej krytyki. Ot, choćby jeden z ostatnich kwiatków: gdy jako kierownik działu mówię młodemu magistrowi, żeby zebrał dokumentację odnośnie pilnej sprawy (w celu usprawnienia pracy dla całego Zespołu...) — odpowiada w tonie perwersyjnym, iż to do niego nie należy, bo innych upoważniono do tej pracy.

Po kilku upomnieniach młody magister obstaje przy swoim, proponując w najlepszym wypadku przedyskutowanie tych spraw, które nb. przez to nie zostaną załatwione. Co wtedy robić, gdy zawiodą środki wychowawczo-profilaktyczne? Pozostawić ich sobie, spreparowanych magistrów, czy wchodzić w kolizję z ustawami, na które się oni chętnie powołują? Nie chcą wyzywająco korzystać z naszego doświadczenia, ani rozwiązywać spraw, zgodnie z naszą sugestią, z całościowym widzeniem problemu. Są zaganiani, wyizolowani na poważnie z życia, płytcy.

„Pingwin"
Warszawa

Od redakcji: Na ogół nie publikujemy korespondencji anonimowych. W tym wypadku odstępujemy jednak od tej zasady z łatwych do odczytania, jak sądzimy, powodów.

Głogowskie Towarzystwo Kultury

Istnienie regionalnego towarzystwa w powiecie głogowskim datuje się z przełomu lat 1946/47, kiedy to grupa pionierów organizacji życia na tej ziemi powołuje do działania Towarzystwo Miłośników Ziemi Głogowskiej. Działalność tego towarzystwa po wielu osiągnięciach zanika w roku 1960. Po kilkuletniej przerwie, w 1963 powstaje Głogowski Klub Inteligencji, który dwa lata później przekształca się w prężne, bardzo żyjące do dziś Głogowskie Towarzystwo Kultury. Ostatnio Towarzystwo dokonało podsumowania swej działalności w latach 1966—68.

Staraniem GTK odbyło się na ziemi głogowskiej ponad 60 odczytów, związanych z regionem głogowskim. Słuchaczami byli członkowie Towarzystwa, młodzież szkół średnich, nauczyciele i bibliotekarze z województwa opolskiego i działacze kulturalno-oświatowi z Inowrocławia, studenci uczelni poznańskich, a nawet delegacja komitetu Okręgowego SED z Frankfurtu nad Odrą. Rada Towarzystwa organizowała dla członków wieczory klubowe, na które składały się prelekcje, wyświetlanie filmów, recytacje i popisy uczniów Państwowego Ogniska Muzycznego. Wydano kilka tysięcy kopert z nadrukiem, przedstawiającym Salomę na tle XVII-wiecznej panoramy miasta oraz z nowo zatwierdzonym herbem grodu z orłem piastowskim. Opracowano i wydano, szybko rozkupiony, „Przewodnik po Głogowie".

Do grona pierwszych aktywnych sekcji — fotograficznej, propagandowo-oświatowej i przyjaciół muzeum — doszły pod koniec ubiegłego roku grupy numizmatyczna i ex-librisu. Sekcja fotograficzna w swych fotogramach eksponowała piękno ziemi głogowskiej, zachodzące w niej przemiany gospodarcze, społeczne i kulturalne. Fotoamatorzy nakręcają także filmy z budowy huty miedzi i prac archeologicznych w powiecie głogowskim. Sekcja propagandowa przygotowała sesje popularnonaukowe związane z historią piastowskiego grodu, jego bieżącym życiem i bliskimi oraz dalszymi perspektywami. Opracowała również tom wspomnień osadników-pionerów powiatu i miasta, który ukaże się w I kwartale 1970 roku. Materiały z pięciu sesji zebrano do V Zeszytu Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Sekcja przyjaciół muzeum zbiera do niego eksponaty, propaguje jego zasługi wśród mieszkańców miasta i powiatu oraz przybyszy, zorganizowała cztery wystawy w Muzeum Hutnictwa Metali Nieżelaznych. Aktyw, wspólnie z Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze, zorganizował sesję na temat zbrodni hitlerowskich oraz eksterminacji dzieci i młodzieży polskiej w czasie II wojny światowej. Natomiast razem z Lubuskim Towarzystwem Naukowym w Głogowie — ogólnopolskie sympozjum związane z badaniami archeologicznymi w obrębie budowy huty miedzi.

GTK postawiło sobie za punkt honoru doprowadzić do zachowania przy rozbudowie miasta obiektów mówiących o jego przeszłości, sugerując urządzenie pasa zieleni między Zamkiem Piastowskim a Ośrodkiem „Neptun" (jako promenady), zabezpieczenie wieży kościoła św. Mikołaja, jako symbolu ogromnych zniszczeń minionej wojny, a pozostałą część adaptować na amfiteatr z muszlą koncertową.

Towarzystwo organizuje młodzież i starsze społeczeństwo do czynów społecznych na rzecz uporządkowania miasta, wiele robi w kwestii postawienia w Głogowie, mieście o wspaniałej tradycji walk o polskość, pomnika Tysiąclecia, jako symbolu pokojowych dążeń narodu polskiego. VI sesja była poświęcona przedstawieniu planów zabudowy poszczególnych dzielnic miasta i dyskusji nad nimi, a ostatnia tematowi „Prasa, radio, telewizja a problemy i zainteresowania środowisk robotniczych" z udziałem towarzystw regionalnych wielkich budowli socjalizmu w Polsce.

Janusz Karcz

Facecjonista...

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wiedziałem, że p. Zbigniew Strzałkowski jest nie tylko znakomitym poetą, ale również nie lada facecjonistą. W numerze „Kameny" z dnia 23 XI 1969 zamieścił fragment prozy poetyckiej zaczynający się od słów: „Ptaki wybuchły o świcie" z niewątpliwą intencją quizową. Aczkolwiek nie towarzyszy temu żadna dodatkowa adnotacja, wiemy o co chodzi. Chodzi o wybadanie czytelniczej orientacji. A więc odpowiadam: przytoczone zdanie wywodzi się z wiersza Józefa Czechowicza „preludium", którego pierwszy wers brzmi: „o świcie wybuchły ptaki z mosiężnych ról" (Józef Czechowicz: „Wiersze", Wydawnictwo Lubelskie, 1963, strona 93). Gratuluję. Bardzo to oryginalny sposób propagowania dorobku poety, którego laur tak systematycznie się zdobywa.

Dokładny czytelnik
(Nazwisko i adres znane redakcji)

Laureaci konkursu

Rozstrzygnięty został konkurs na reportaże o problemach powiatu Opole Lubelskie, zorganizowany przez Prezydium PRN w Opolu oraz Oddział Lubelski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Nadesłano 25 prac.

Pierwszej nagrody nie przyznano. Dwie drugie nagrody otrzymali: Czesław KLEPACKI z rozgłośni lubelskiej Polskiego Radia oraz Beniamin HARASYMIUK ze „Sztandaru Ludu". Trzy trzecie nagrody zdobyli: Janusz DANIELAK z rozgłośni lubelskiej Polskiego Radia, Zofia DUBLEWICZ ze „Sztandaru Ludu" za opublikowany w „Kamenie" reportaż „Lubelska Opolszczyzna" oraz Romuald WIŚNIEWSKI z „Kameny" za reportaż „Ziemia".

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Nowy Rok ledwo za nami, jeszcze placki i mięsiwa świąteczne się dojada, ludzie jakoś ociężali i zrelaksowani. Nie męczmy się zatem. Precz z zawiłymi problemami ludzkiej egzystencji, precz z tragediami miłosnymi! Humor niech kwitnie! Rubryka ta będzie krótka a treściwa, fraszkom poświęcona. Satysfakcjonujemy w ten sposób autorów, którzy do numerów nie „weszli": A. H. z Lublina, „Erotoman", „Klon" z Hrubieszowa.

Motto:

Przesyłam wam redakcjo frache,
Żebyście mieli ubaw po pache
I w Poste-Restante wydrukowali
I o honorarium zapamiętali.

CNOTLIWY

Wtedy tylko ceni cnotę,
Kiedy na nią ma ochotę.

CNOTLIWA

Przeważnie bardzo cnotliwa
— Sobie używa.

ZAKOCHANA

Zakochana
— Tylko do rana.

HOJNA

Usta mu dała, siebie mu dała,
A potem portfel jemu zabrała.

O MOJEJ DZIEWCZYNIE

Z zewnątrz Afrodyta,
Wewnątrz — w główce —
pustka ukryta.

ALTRUISTA

Nie znosi materialistek,
Chyba że w klubie nudystek.

* * *

Gdy się w nieswoje łoże
Na chwilę położę
— Zaraz cudzołożę.

Wychodzi jednak na to, że nie udało nam się uniknąć zawiłej problematyki erotyczno-psychologicznej. Przepraszamy i do następnego roku przy podobnej okazji.

Krzyżówka nr 1

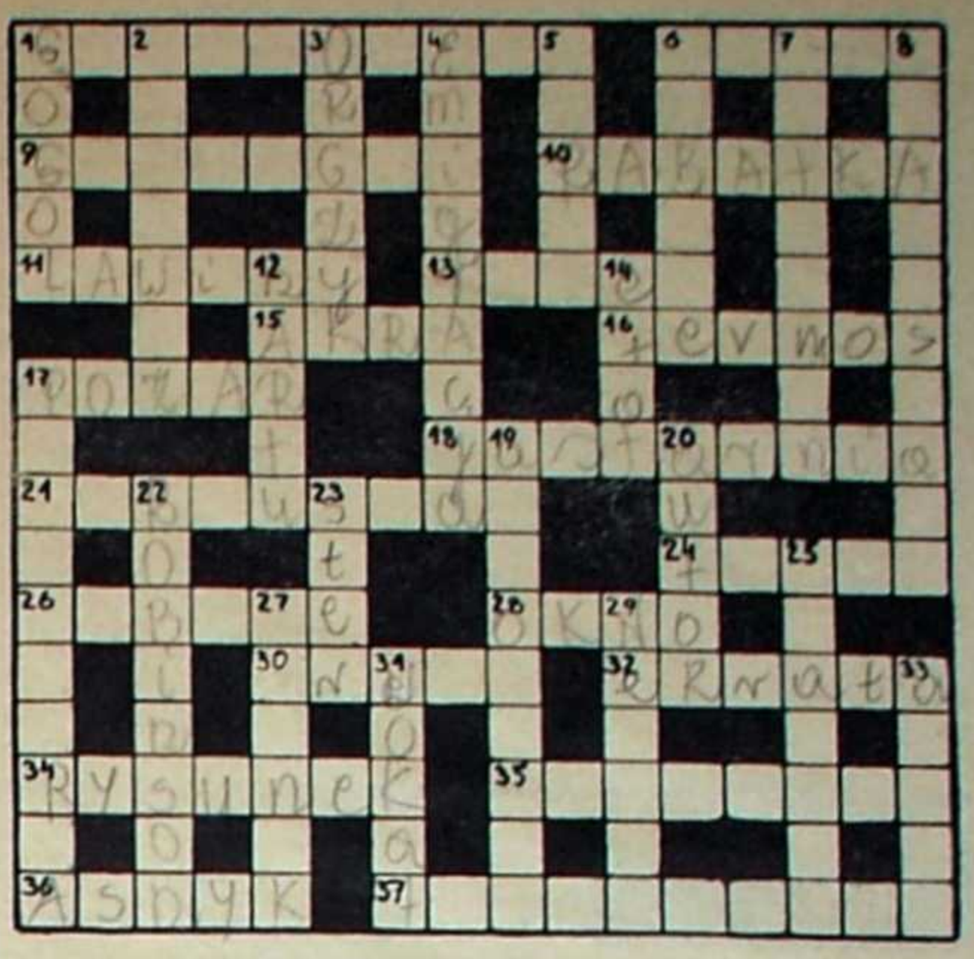

POZIOMO: 1. współczesny poeta polski, 6. produkt, 9. pisarz polski z okresu Renesansu, autor „Dworzanina polskiego", 10. zagonik w ogródku, 11. spadają w górach, 13. polski kompozytor i pedagog ur. w 1884 r., 15. stolica Ghany, 16. utrzymuje ciepłotę, 17. duży ogień, 18. miejscowość letniskowa na Półwyspie Helskim, 21. kraina w Iranie, Iraku i Turcji, 24. grubość, 26. przeleciał sterowcem nad Biegunem Północnym, 28. otwór w ścianie, 30. imię Kischa, 32. dołączona do książki kartka z wykazem błędów, 34. ilustracja, 35. oględziny zewnętrzne sądowo-lekarskie, 36. poeta polski, autor „Daremnych żali", 37. poprzedzał przejęcie władzy przez Cezara.

PIONOWO: 1. rosyjski pisarz, twórca słynnych komedii, 2. średniowieczny ród małopolskich możnowładców lub polski herb: srebrna strzała z dwoma wąsami u dołu, 3. łączy uprzęż z wozem, 4. przybycie ludzi do obcego kraju w celu osiedlenia się, 5. współczesny poeta i prozaik polski, autor „Rudego Mojżesza", 6. herb pana Zagłoby, 7. miasto w powiecie wołomińskim, 8. stolica Słowacji, 12. zimowy sprzęt sportowy, 14. miejsce pracy, 17. drastyczność, ostrość dowcipu, 19. włoski filmowiec, twórca „Przygody", 20. twórca, 22. sam na bezludnej wyspie, 23. kierownica statku, 25. znany polski rysownik, ilustrator książek dla dzieci, 27. feudalny poddany, 29. pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 69, 31. wolne stanowisko, 33. liść z architektury z korynckiej kolumny.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

Rozwiązanie krzyżówki nr 13

POZIOMO: Rabelais, Matisse, Elba, Rytro, molo, róg, lut, kły, rondo, Waza, Litwa, barchan, Arkansas, sadzawka, kanibal, Idaho, algi, rumak, mat, CIA, Agata, Orły, bolec, Dali, kaskada, Norwegia.

PIONOWO: rozmówca, biel, amarylis, Sokrates, margrabia, tytan, Szołochow, ekstern, lokata, raz, kontrabas, bon, aplikacja, Szaliapin, dromader, Anatol, Abisynia, Korczak, malwa, ring.

Nagrody otrzymują:
Eugeniusz Bieloński, Wrocław, ul. Sudecka 48 m. 17,
Henryk Żak, Lublin, ul. Puchacza 17/11,
Zbigniew Lewiński, Kielce, ul. Nowy Świat 40a/3,
Stanisława Jasińska, Lublin, ul. Startowa 1 m. 1.

Peregrynacje zagraniczne młodego magnata

Dokończenie ze str. 8

województwie krakowskim. Piastując godność wojewody ruskiego, a następnie wojewody i starosty generalnego krakowskiego, uważał się niejako za władcę południowo-zachodniej Polski i zajmował się głównie jej sprawami. Mniej więcej od 1635 r. rzadko opuszczał swą rezydencję w Wiśniczu, którą uprzednio powiększył i upiększył z pomocą swego nadwornego architekta, Włocha Trapolo. Był typowym przedstawicielem nowej magnaterii, która dochodzi do głosu pod koniec XVI wieku.

Dzisiejszego czytelnika interesuje niewątpliwie problem, jak wyglądała finansowa strona podróży, ile to kosztowało. Pobyt Stanisława Lubomirskiego za granicą przez dwa lata i cztery miesiące, wliczając w to podróż do Monachium, kosztował niebagatelną sumę — około 4950 zł. Co oznaczała ta suma w ówczesnej gospodarce? Dochód szlachcica ze średnio wielkiej wsi w tych czasach wahał się między 140 a 240 zł. rocznie. Średnia cena wołu wynosiła w r. 1591 w Warszawie 5 zł, w Krakowie w r. 1596 — 6 zł i kilkanaście groszy. Średnia cena pary butów w Warszawie i w Krakowie w tych latach wynosiła koło 1 zł.

Przy lekturze drugiej części książki — memoriału rachunkowego — wszystko brzmi rezonansem wyobraźni. Budzi się potrzeba własnej oceny historii. Sondujemy tu jej dno, przyglądamy się podszewce, penetrujemy zaułki. Gdy raz po raz w memoriale odnajdujemy pozycje: „za wino i piwo — 6 zł 21 gr", „za wino i piwo — 6 zł 13 gr", „kupiłem niewielką beczkę wina... miała wiader trzy", „za wino — 1 zł 24 gr", „na wino i tu, i ówdzie w drodze, bo beło wielkie gorąco — 16 zł 2 gr" — to mimo woli rodzi się wątpliwość co do korzyści wyniesionych z owej podróży przez młodego Lubomirskiego. Czytając memoriał chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o sprawach prywatnych „Stachnika" — co myślał, czuł, jak widział ów katolicko-mieszczański świat bawarskiego Monachium, trafić na jakieś zwierzenia. Ale choć memoriał nie posiada tego typu zapisków, dla czytelnika nie pozbawionego wyobraźni poszczególne rubryki komponują się w pewnego rodzaju „powieść historyczną".

Praca Czaplińskiego i Długosza: „Podróż młodego magnata do szkół" jest i „monografią" podróży zagranicznych, i curriculum vitae Stanisława Lubomirskiego; z jednej strony ukazuje rolę podróży zagranicznych w ówczesnym życiu kulturalnym, ich charakter i przebieg, z drugiej — daje pełny życiorys Stanisława Lubomirskiego.

Na koniec pytanie: dla kogo ta książka? Czy dla badaczy XVI—XVII wieku, czy też dla wszystkich nieobojętnych na przeszłość, a obytych na przykład z pamiętnikami czy pracami popularnonaukowymi? Jest ona dla jednych i dla drugich. Jest i pracą, po którą będą sięgać badacze XVI—XVII wieku, i pasjonującą lekturą biorącą w „jasyr" zwykłego czytelnika.

Adam Andrzej Witusik

Władysław Czapliński, Józef Długosz. Podróż młodego magnata do szkół. (Studium z dziejów kultury XVI i XVII w.), PIW Warszawa 1969, s. 241.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki), MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch" Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-23, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; pocztową i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 4104. 12.XII.69. 8.000. F-6

Kamena str. II

Architekci

TAK więc mamy już za sobą jubileuszowy rok naszej ojczyzny. A przed sobą ostatni rok bieżącej pięciolatki, rok, który zadecyduje o tym, z jakim dorobkiem staniemy na starcie następnej.

Ten jubileuszowy rok zakończył się w Lublinie krajowym zjazdem architektów, jako że właśnie niemal dokładnie przed 25 laty także w Lublinie odbył się ich pierwszy zjazd po wojnie, tu po raz pierwszy policzono wojenne straty w tym zawodzie i naszkicowano oszałamiające wprost perspektywy, jakie wyłaniały się przed architektami i urbanistami.

My, zwykli zjadacze chleba, przyzwyczailiśmy się dosyć osobliwie patrzeć na naturę. No bo natura dała nam za darmo ziemię, powietrze, drzewa, rzeźbę terenu, krajobrazy. Nam pozostało z tego tylko korzystać. Korzystamy więc możliwie najwięcej, nie oglądając się na rezultaty.

Tymczasem obowiązkiem architekta — jakże często jego rolę sprowadzamy tylko do projektowania domów mieszkalnych — jest takie wykorzystanie natury, aby nam się naprawdę lepiej i wygodniej żyło. Ale nie tylko nam, dzisiejszemu pokoleniu. Każda decyzja architekta przetrwa dziesiątki lat, wiele z nich trwać będzie przez całe wieki. Stąd szczególny zaszczyt, ale i szczególna odpowiedzialność.

Można, oczywiście, mieć pretensję o takie czy inne decyzje, jak np. ostatnio o zlokalizowanie strzelnicy w jednym z wąwozów Nałęczowa. Można narzekać na zbytnie zuniformizowanie części niektórych osiedli w Puławach. Trzeba się dziwić, dlaczego w osiedlu LSM buduje się obiekty z dachami na kształt wschodnich pagód, co budowlanym nastręcza wciąż olbrzymie przeszkody, a w przyszłości będzie je nastręczać wszystkim użytkownikom. Można się zapytać, kiedy Lublin stanie się rzeczywiście nowoczesnym miastem z siecią odpowiednio szerokich arterii komunikacyjnych, kiedy zniknie stara, gąbczasta zabudowa pomiędzy centrum a rozrzuconymi wokół nowymi osiedlami, wciąż jeszcze nie tworzącymi jednej całości z miastem.

Ale równocześnie trzeba widzieć nowe, piękne osiedla mieszkaniowe, piękne fabryki, tysiące szkół, które dzisiaj w architekturze wsi stanowią centralne punkty piękna i funkcjonalności.

A wszystko to nie zmienia faktu, że istnieje wciąż pewna rozbieżność pomiędzy tym, co architekci i urbaniści chcą widzieć, a co my widzimy. Rzecz bowiem polega nie na braku wyobraźni, nie na umiejętności wykorzystania darów natury oraz przewidywania przyszłości, ale na możliwości realizacji. Apetyty rosną nam szybciej niż portfele, pragnienia kształtują się prędzej niż fakty. Ale chyba właśnie dlatego rola architektów jest ogromna, a sztuka uprawiania tego zawodu coraz trudniejsza.

Architektura jest jednocześnie sztuką i nauką. Niestety, zdarza się, że decyzje administracyjne od czasu do czasu wciąż jeszcze usiłują rozwiązać jakąś sprawę widząc jedynie korzyści doraźne. Prędzej czy później korzyść taka zanika, ale konsekwencje decyzji pozostają. Nas irytują, a przyszłym pokoleniom po prostu będą przeszkadzały.

Na zjeździe inż. Hryniewiecki, jeden z najznakomitszych naszych architektów, przestrzegał przed takim właśnie postępowaniem. Osobiście nie widziałem patosu w przestrodze: pamiętajmy, aby nas przyszłe pokolenia nie przeklinały. Trzeba, aby nad tym głęboko się zastanowili — mimo takich czy innych trudności dnia dzisiejszego — wszyscy ci, w których rękach leży decyzja. Nie tylko architekci.

(dost)

MINUTA MYŚLENIA

Istotnie kicz!

WPADŁA mi do ręki książka Andrzeja Banacha „O kiczu". Co za radość opanowała mnie w pierwszym momencie! Nareszcie zdobędę umiejętność patrzenia na obraz i nieomylnie oddzielę ziarno od plew! Eureka!

Taki nastrój towarzyszył mi przy rozchylaniu grubych, obiecujących wiedzę okładek. Stopniowo jednak entuzjazm zaczął słabnąć, a stało się to za sprawą nieopatrznego zagłębiania się w tekst. Gdybym poprzestał na powierzchownym kontakcie z książką, pozostałbym przy przekonaniu, że trzymałem w dłoni nieomylny probierz w sprawach wartości artystycznych, do których przy każdej wątpliwości mogę się odwołać. Niestety, nieszczęsny zdecydowałem się na czytanie.

Nie będę zanudzał Czytelników pełnym katalogiem zawartych tam sformułowań. Przytoczę tylko niektóre.

Otóż dzieło jest obficie ilustrowane reprodukcjami światowego malarstwa, o których powiedziane jest, że autor nie informuje, które z nich uważa za kicze, pozostawiając to czytelnikowi. Co za metoda! Czyż nie lepiej byłoby zestawem reprodukcji posłużyć się jako ilustracją wygłaszanych tez? Jaki cel ma ich umieszczenie, jeśli nie mają spełniać owej dydaktycznej funkcji? W dodatku, co znaczy fotos z filmu „Grek Zorba", przedstawiający fizys postaci tytułowej? Odnośnie tych reprodukcji spotykamy jeszcze szczególne curiosum w postaci zastrzeżenia: „W podpisach nie podawano jednak nigdzie ocen poszczególnych dzieł sztuki, zgodnie z przyjętą zasadą unikania estetyki normatywnej". Dobrze — autor unika estetyki normatywnej. Na jakiej więc zasadzie dojdzie do określenia pojęcia kiczu?

Jest to zresztą, według Banacha, pojęcie dość nieokreślone. Tym dziwniejsze wydaje się staranie zmierzające do ustalenia, „które dzieło jest kiczowe w pełni, które w części, a które wolne od kiczu". Ba, wolne od kiczu. No to posłuchajmy: „Istnieją kicze zrobione w złej wierze, jak powtórki obrazów abstrakcyjnych i arcydzieła kiczu zrobione w dobrej wierze, jak niektóre obrazy Rafaela". Więc i Rafael kiczarzem. Cóż, każdy może mieć swój gust. Tylko co znaczy „w dobrej wierze"? Bo rozumienie może być dwojakie: 1) artysta chciał namalować dobrze, ale nie umiał i wyszedł mu kicz, 2) chciał dobrze, to znaczy nie pomieszać kryteriów w sztuce, więc kicz zamierzył i kicz stworzył. Którego z tych znaczeń używa Banach? Analogiczne wątpliwości co do złej wiary, jakaż eksplikacja, bo: 1) artysta zamierzył bohomaz i bohomaz powstał, czy 2) łudził się, że maluje dobrze, dlatego jego wiara jest złą wiarą? Przypuszczalnie odpowiedzi nie da sam autor. Autor, który tak niefrasobliwie rzuca określeniami: „są kiczem tylko dzięki prawdzie", „kicz w niektórych formach jest piękny" itd.

Mamy również sformułowania wprost do przekrojowej rubryki „humor zeszytów". Np. Żeromski „w formie nie ustępuje erotyce kiczowej". Co to znaczy? Może Banach miał na myśli, że Żeromski w erotyce nie ustępuje formie kiczowej? Trudno zresztą zgadnąć, co miał na myśli. Jak również w zdaniu następującym: „Ale jest to problem psychologii twórczości czy raczej jego etyki". Do czego odnosi się to „jego"? Może według znawcy kiczu „twórczość" jest rodzaju męskiego?

A może chcemy wiedzieć, jak powstaje kicz? Otóż kicz powstaje wtedy, kiedy „artysta przystępujący do pracy nad obrazem tego typu rozpoczyna od myśli, od pewnej zasady, nie od nowego widzenia". Artysto, jeśli rozpoczniesz od nowego widzenia, chwała ci, ale jeśli tylko myśl do tego zaangażujesz — pójdziesz na oślą łączkę, wysłany tam przez mistrza Andrzeja.

Istnieje też w tej uczonej książce passus, który mówi, że „poeta w nowoczesnym znaczeniu nie jest filozofem: nie stara się budować konsekwentnego poglądu". Od biedy można przełknąć. Ale bibliotekę dzieł Banacha temu, kto domyśli się, czy to jego charakterystyka Jana Cocteau, czy opinia samego Cocteau, bo ujęcie stylistyczne tego nie wyjaśnia. Zresztą Cocteau to też kiczarz.

Koroną jednak wywodów wybitnego znawcy zagadnień estetyki jest zdanko następujące: „Podanie definicji (kiczu — dopisek I.) już teraz — mogłoby zwęzić zakres poszukiwań i wykluczyć z góry niektóre rozstrzygnięcia". Brawo logika! Jak najdalej od definicji, to znaczy od celu rozważań. Mamy ją, ale błądzimy dalej! Wdawajmy się „w niektóre rozstrzygnięcia", które powinny odpaść!

Tymczasem ja odpadam od dalszej lektury. Czytelnik może mieć pretensję, że przy cytatach nie podawałem numerów stron. Nie za dużo szukania. To wszystko na 28 stroniczkach. Co za kondensacja! Do dalszych — wołami mnie nie zaciągną!

Ijon

BIG-BEAT

Dziecinada?

PANIE Redaktorze! „Konfrontacje" — dwutygodniowy dodatek studencki „Kuriera Lubelskiego", redagowany przy współudziale RO ZSP, opublikowały artykuł dyskusyjny kol. „Brycha" pt. „Dziecinada?" Redakcja („Kuriera", „Konfrontacji"?) zastrzegła się, opatrując wspomniany materiał notką tej treści: „Powyższy artykuł dyskusyjny traktujemy jako postawienie pewnych problemów do dyskusji na naszych łamach, mimo że nie zgadzamy się ze wszystkimi stwierdzeniami autora".

O co chodzi kol. „Brychowi"? Pozwolę sobie zacytować fragment jego wypowiedzi: „...Kilka tygodni temu wprowadzono w blokach UMCS jeszcze jedną konstrukcję umoralniającą. Zdecydowano się upamiętnić w grubych zeszytach (...) te wszystkie osoby, które ośmielają się powracać do DS po godz. 23 (!). Nie jest ważne, czy wraca się z kinowego seansu, czy kolejnego, nieco przedłużonego, zebrania na wydziale, z bankietu czy też z próby w zespole — wszystkim przysługuje utrwalenie nazwiska w zeszycie pań portierek. (...) Jak fama głosi, wyżej wspomniany zeszyt ma być cennym dokumentem dokładnie przeglądanym na posiedzeniach komisji stypendialnych...".

Przy okazji kol. „Brych" dotknął i innej sprawy — problemu czapek studenckich, które w lubelskim środowisku nie mają większej tradycji. „Próbowano — pisze — zmienić ten stan rzeczy, ale, niestety, zdecydowano dokonać tego sposobami nie zawsze odpowiednimi i nie zawsze przynoszącymi pożądane rezultaty. Podkreślam z całą stanowczością, iż nikt nie chce występować przeciw samej istocie postanowienia, istnieje przecież nawet tendencja — chęć odróżnienia się studenta od każdego innego obywatela, a funkcje te mogłaby, oczywiście, spełniać i to z powodzeniem — żakowska czapka. Ale na litość, nie poprzez fasony, jakie propaguja (prawie identyczne wprowadzono w niejednym technikum), no i nie po cenie stawiającej studentów w kłopotliwej raczej sytuacji (65 zł).".

Nie wiem, z którymi stwierdzeniami redakcja („Konfrontacji", „Kuriera"?) nie zgadza się, dla mnie osobiście to zastrzeżenie jest kompletną bzdurą i właściwie nie wiem, nad czym tu można dyskutować?

Jest jedno kryterium oceny studenta. O tym, czy on jest dobry czy zły, świadczy jego indeks. Jeśli właściciel indeksu ma same czwórki i piątki, nikogo nie powinno obchodzić, czy wraca on do domu o godzinie 20 czy 2 po północy. Portierka też człowiek mający określone godziny pracy. Jeśli wypada jej dyżur w nocy, to chce, czy nie chce, ale musi otwierać bramę. Zresztą ta brama i tak mogłaby być przez całą noc otwarta. Portierka zamyka ją dla własnej wygody (nie musi stale uważać), no i — bądźmy szczerzy — dla podreperowania swego budżetu: spóźnialscy chętnie wsuną jej do ręki złotówkę czy dwie, bo taki zresztą jest niepisany zwyczaj.

Inny problem stanowi zachowanie się studenta, który po godzinie 23 wraca do domu akademickiego w stanie nietrzeźwym. Wobec pijaków stosowałbym najdalej idące sankcje, poczynając od upomnienia, poprzez naganę, naganę z ostrzeżeniem i wreszcie usunięcia z akademika. Oczywiście o tym, czy ktoś jest trzeźwy czy podpity, nie decydowałaby portierka, ale student - dyżurny. W gorących dniach przedegzaminacyjnych w pokojach studenckich często i do rana nie gasną światła. Sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby ustalić plan dyżurów powiedzmy od godziny 22 do 3. Na tylu mieszkańców domu akademickiego dyżur taki nie należałby do uciążliwych, a samych studentów uczyłby współrządzenia i współodpowiedzialności.

Odrębną sprawą to obowiązek noszenia czapek studenckich. Doceniam inicjatywę, ale ze względów czysto praktycznych jestem przeciw. Nasz klimat wcale nie sprzyja noszeniu czapek studenckich. Zimy są u nas mroźne, nauszniki nie wystarczają. Czapka studencka, niestety, nie grzeje. Gdy zaś jest cieplej, na ogół nie chodzi się, ani w czapce ani w kapeluszu na głowie. Kiedyś — jak mówią starsi — hoiło się czapkę studencką dla snobizmu, wówczas nie potrzeba było wydawać żadnych zarządzeń. Dziś, gdy brać studencka stanowi potężną armię, ostatecznie nie ma się czym chwalić!

A w ogóle rzecz polega na tym, aby studentów traktować nieco poważniej. Dziś młodzież dojrzewa szybciej i dorośli muszą się i z tym pogodzić. Utrwalanie nazwisk w zeszytach pań portierek (niezależnie od tego, czy ma to czy nie ma wpływu na stypendia) jest czymś oburzającym proszę administracji domów akademickich!

Jacek

Odpowiedzi redakcji

M. S. w Dębowej Kłodzie. „Napisałem, tzn. ułożyłem wierszyk, który redakcji przesyłam. Proszę o udzielenie mi informacji na temat tego wiersza. Może nie mam pojęcia o pisaniu wierszy. Bardzo pragnę pisać wiersze, lecz nie wiem jak, nie mam z kim się skontaktować, który mógłby wyjaśnić mi ten problem. Bardzo proszę redakcję o przesłanie mi informacji o tej sprawie. A oto ten wiersz: Nie odchodź / nie zostawiaj mnie samego. / Nie zabieraj mi Twych gorących ust, / zostań moją Teresko..." itd. w podobnym trybie jeszcze jedenaście strof. Typowy list i typowy wiersz. Dostajemy takich setki. Pierwsza — zapewne — miłość, nieco sentymentalne usposobienie, absolutny brak rozeznania we współczesnej poezji — i sprawa gotowa. Radzimy zacząć od czytania poezji, pisania zaniechać.

L. S. w Jaworznie. Pan reprezentuje drugi typowy w naszej praktyce redakcyjnej przypadek. Niechlujna karteluszka nabazgrane kilka utworków i prośba o „obiektywną ocenę". Ani tego odczytać, ani tego zrozumieć. Słowem — rozpacz i ogólne zepsucie dobrych obyczajów korespondencyjnych.

U. F. w Świdniku. Same typowe przypadki nam się tutaj uzbierały. Nic zresztą dziwnego, bo tylko prawdziwa poezja jest niepowtarzalna. Pani z kolei nadesłała — jakże często to bywa — teksty, w których materia poetycka, wyobraźnia, metaforyka pozostaje w zasadniczej sprzeczności ze szlachetnością intencji oraz górnolotnością humanistycznych przeświadczeń. Cóż zrobić, te sprawy nie zawsze chadzają parami.

Z. W. R. w Lublinie. Jesteś jeszcze bardzo młodym człowiekiem, który musi sprawdzić wiele kwestii w życiu. Być może, iż w tzw. międzyczasie skłonności wierszopisarskie okażą się tylko chorobą wieku młodzieńczego. Na razie możemy doradzić to, co zawsze — dużo czytać i uczyć się. Pozdrawiamy. Życzymy dobrych rezultatów w pracy harcerskiej.

K. Z. w Warszawie. Rzeczywiście staroświecki jest ten Pański wiersz, tak staroświecki, że chwilami przypomina nawet stylizację, trzeba przyznać: udaną. Tu już zresztą nie idzie o „katarynkę" sylabiczną, ale o sposób ujmowania erotyki. Bo owo „odwieczne" uczucie, jakim jest miłość, także podlega czasowym determinatom. Dlatego możemy mówić o modelu miłości sentymentalnej, romantycznej etc. Pan jest chyba na etapie Asnyka. Ale — przyznajemy — wierszyk zgrabny i ma swój urok. Czy nie próbował Pan nigdy pisać w innym trybie literackim?

W. G. w Lublinie. Nie chcemy się wypowiadać w kwestii Pańskiego talentu. Bo nawet największy talent nie uratuje człowieka, jeśli ten ostatni nie ma wiele do powiedzenia, tzn. nie potrafi owego talentu realizować. Brak Panu doświadczeń, brak przemyśleń, brak jako tako skrystalizowanej wizji świata. Jest Pan młody, więc jeszcze się Pan tego wszystkiego może dopracować. Za przychylny stosunek do naszego pisma serdecznie jesteśmy wdzięczni. Pozdrawiamy.

J. S. w Lublinie, T. S. w Warszawie, A. H. w Lublinie — nie skorzystamy.

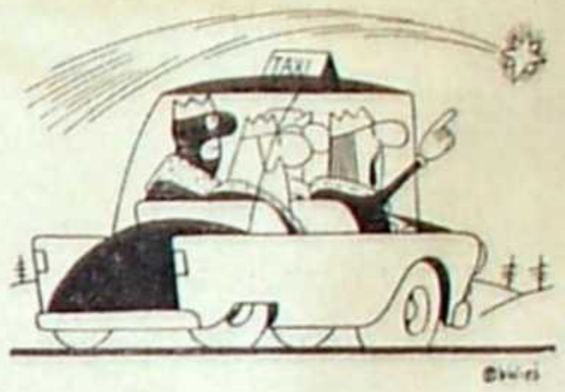

Rys. W. Fuglewicz

Rys. L. Szalecki

NOTY i notki

JUŻ DAWNO nie zajmowałem się twórczością Józefa Prutkowskiego na łamach tygodnika satyryczno-humorystycznego „Szpilki". W nr. 50 przeczytałem takie oto jego rozważania: „Górnik wykazał zadziwiającą dojrzałość taktyczną. Częstymi zmianami tempa zbijał „Rangersów" z pantałyku. „Górnik" zwalniał grę, „Rangersi" zwolnili trenera. Z obu tych faktów należy wyciągnąć wnioski". To absolutnie cała, bez najmniejszego skrótu, perełka humoru, satyry i filozofii w wykonaniu J. Prutkowskiego, a w realizacji „Szpilek". Z obu tych faktów rzeczywiście warto wyciągnąć wnioski.

UKAZAŁA SIĘ NIEDAWNO książka Grzegorza Jaszuńskiego „Tajemnica Richarda Sorgego". Chyba w żadnej redakcji jej nie przeczytano, o czym świadczą następujące fakty: „Trybuna Ludu" (nr 345) zakwalifikowała ją do monografii, tygodnik „itd" (nr 50) do literatury politycznej (i to na pierwszym miejscu), „Przekrój" (nr 1287) do książek wojennych, a „Głos Nauczycielski" (nr 50) do działu „Polityka, historia i filozofia". No i bądź mądry, biedny czytelniku.

NIEMAL W KAŻDEJ SZKOLE podstawowej za napisanie lub powiedzenie „za wyjątkiem" można oberwać dwóję. Tymczasem komentatorzy sportowi naszej telewizji — z wyjątkiem Tomaszewskiego — uparcie tak właśnie mówią. Może Prezes obok pucharu do dyspozycji Fedorowicza zechce ufundować etat do dyspozycji jakiegoś polonisty?

NO CÓŻ — CZEKAM Z CIEKAWOŚCIĄ, ale i pewnym niepokojem. Jak doniosła prasa warszawska, Teatr „Syrena" szykuje na rocznicę wyzwolenia stolicy specjalny program. Pierwszym punktem ma być występ Wojciecha Młynarskiego jako poety. Nie w roli poety, ale tak na poważnie jako autora wiersza do recytacji.

RÓŻNIE MOŻNA PISAĆ o gwarze studenckiej. O tej gwarze „Kamena" też zamieściła kiedyś najpierw felieton, potem poważny artykuł. Teraz zabrał na ten temat głos Stanisław Grabias, zamieszczając felieton w nr. 50 „itd". I korzystał z tego samego źródła, co my — z prac Katedry Języka Polskiego UMCS. I byłoby w porządku, gdyby nie to, że wszystkie, dosłownie wszystkie przykłady dotyczyły wyłącznie jednego tematu — bicia w mordę. Czytamy więc kolejno: wygrawerować gębusię, grzmotnąć w dziasło, chachuknąć w szczękę, gwizdnąć w papugę, dać w klawiaturę, przypistolić, przykapiszonić, zamalować w kizior, wypakować lampę itd itd. Jedno z dalszych barwnych określeń pochodzi nawet z okresu rosnącej sławy piosenkarskiej pewnego lubelskiego studenta: jak ci przykormoranię, to ci żółte kalendarze z pustych kopert poleca. Barwne to wszystko, szkoda tylko, że i autor, i pismo folklor lubelskiego studenta dostrzegli jedynie w tej dziedzinie. A ja jestem bardzo ciekaw, jak w gwarze studenckiej należy przekazać takie stwierdzenia: przeczytałem dobrą książkę, chodzę często do teatru, to jest piękny wiersz itp.

JOD

W następnym numerze pierwszy reportaż o działalności wywiadu zachodnioniemieckiego na Lubelszczyźnie.

Instrukcja szpiegowska — szyfr — tajnopisy — krótkoznaki — meldunki.